



ROK LVIII

MUSIMY PAMIĘTAĆ

NR 40

WARSZAWA, 3. PAŹDZIERNIKA 1925 ROKU.

TRĘŚĆ NUMERU: Musimy pamiętać—*M. B. Ł.* Od djagnozy do lekarstwa—*Z. Zawiszanka.* Świat kobiecy (c. d.)—*Marja Grossek-Korycka.* Krościenko—*N. Samotybowa.* Wiersze—*Krystyna Rosetti.* Najdalsza droga (c. d.)—*Marja Dąbrowska.* Z powodu dolarów (c. d.)—*Joseph Conrad (Józef Korzeniowski)* tłumaczyła *Teresa Tatarkiewiczowa.* Zatrzymany zegar (powieść) c. d.—*Wanda Miłszewska.* Gra miłości i śmierci—*K. Bielańska.* Z dalekich lądów—*Stefanja Podborska-Okółow.* Kobieta w świecie i w domu—*Z. B. Z teatrów—a.* Dział praktyczny: Mody i roboty. Eleganckie podwiązki. List z Paryża—*Sekwa.* Moda na scenie—*W. Z.* Sprzęt—dzieło sztuki. Popiół—*J. S.* Z dziedziny kosmetyki—*Dr. J. Świtalska.* Jak się robi mydło—*J. S.* Pakowanie i przechowywanie owoców na zimę—*Pani Elżbieta.* Obiady na maszynie—*Pani Elżbieta.* Przepisy gospodarskie—*Pani Elżbieta.* Dobre Rady. Korespondencje. Nadesłane do Redakcji. Dodatek powieściowy „Naja Tripudians” (c. d.)—*Annie Vivanti* (przeł. z włoskiego *Tadeusz Jakubowicz*). ARKUSZ WZORÓW

MUSIMY PAMIĘTAĆ

Już dawni ekonomiści z końca XVIII stulecia zauważyli, że towary zagraniczne nabywa się wzamian za towary wyrabiane wewnątrz kraju. Prosta logika stwierdza, że gotówka nie może bez końca odpływać z danego państwa; musi też przyplýwać z zew-

nątrz. Gotówka ta zresztą może wpływać z różnych źródeł, niekoniecznie za towary, wywożone zagranicę. Może ona wpływać jako dochody z przedsiębiorstw, które mieszkańcy danego państwa prowadzą zagranicą. W krajach, gdzie jest obfitość kapitałów, np. we Francji, w Belgji, w Stanach Zjednoczonych i t. p., właściciele tych kapitałów szukają dla nich korzystnego umieszczenia, a niezawsze znajdują je na miejscu. Wobec nadmiaru kapitału stopa procentowa jest niska, rozwój nowych przedsiębiorstw utrudniony skutkiem współzawodnictwa. Jednostki przedsiębiorcze, skłonniejsze do ryzyka umieszczają swój kapitał w krajach o niższym rozwoju gospodarczym, na wschodzie Europy, do którego zaliczają również Polskę. Otrzymane stamtąd zyski stanowią w wymienionych krajach bardzo poważną pozycję w ogólnym bilansie państwowym. Anglja znów, prócz tego rodzaju dochodów, czerpie znaczne sumy z krajów zagranicznych przymorskich, obsługiwanych częściowo przez

angielskie okręty handlowe. Śródlądowe zaś położenie geograficzne pozwala na otrzymywanie pewnych dochodów za kolejowy lub wodny ruch tranzytowy. Szwajcarja i Paryż, żyją w pewnej mierze z cudzoziemców, którzy przyjeżdżają tam dla przyjemności i płacą za nie swemi pieniędzmi. Wreszcie pewien dochód z zagranicy może wpływać z kwot, które emigranci przesyłają do kraju macierzystego z zaoszczędzonych zarobków.

Całokształt stosunków towarowych między danym krajem, a zagranicą, nazywamy bilansem handlowym. Przez porównanie wartości wywozu (eksportu) z wartością przywozu (importu) otrzymuje się saldo bilansu handlowego za okres porównywany. Bilans handlowy, uzupełniony wszelkimi innymi należnościami, otrzymywanymi z zagranicy i wszelkimi wierzytelnościami, wypłacanymi zagranicą stanowi bilans płatniczy.

Wystarczy wyliczenie ważniejszych możliwych pozycji bilansu płatniczego Polski dla przekonania się, że ciężar tego bilansu spoczywa w bilansie handlowym. Wiemy doskonale, że narzekania na brak wolnego kapitału w Polsce, nie są czczą formułką; większość nieomal wielkich przedsiębiorstw, kopalnie węgla, tereny naftowe, niektóre olbrzymie fabryki włókiennicze i t. d. należą do zagranicznych towarzystw akcyjnych. Dywidendy tych towarzystw

nie pozostają w Polsce, nie idą na rozszerzenie naszej produkcji i nawet w części nie są wydatkowane w Polsce, gdyż właściciele tych kapitałów z rodzinami swemi stronią od naszego kraju. Polacy zaś, o ile prowadzą pewne przedsiębiorstwo poza granicami swego państwa, np. w Stanach Zjednoczonych, są jednocześnie najczęściej obywatelami tamtego kraju i w nim pozostawiają swe dochody, które zresztą nie pozostają w żadnym stosunku do znacznych sum, pobieranych z przedsiębiorstw polskich, będących własnością cudzoziemców. Smutno pomyśleć, że ciężko zapracowany na tułaczce grosz naszych wychodźców francuskich i amerykańskich stanowi jedyną pozycję równoległą do wychodzących od nas dywidend, pobieranych przez kapitalistów obcych bez pracy osobistej, częstokroć z krzywdą naszego robotnika.

Pozostaje więc, powtarzamy, bilans handlowy. Wywozimy produkty rolne i wyroby przemysłowe. Przywozimy artykuły spożywcze, których nasza ziemia i klimat dać nam nie mogą, i te produkty przemysłowe, których sami nie wyrabiamy. Niestety, jednych i drugich jest bardzo wiele, niepomierne dużo w stosunku do tego, co dajemy zagranicy. Dlatego też nasz bilans handlowy kształtuje się dla nas niepomysłnie. Na pokrycie przewyżki przywozu musimy brać gotówkę i weksle zagraniczne. Przywozimy część towarów zagranicznych nie za nasze towary, jak to głosi zasada, przytoczona przez nas na wstępie. W obrocie międzynarodowym potrzeba przeto więcej owych środków płatniczych zagranicznych niż naszych złotych polskich. I dlatego pieniądz nasz, z takim trudem zdobyty i ustalony w swej wartości, zaczął spadać.

Anglja jeszcze przed wielką wojną, nie znajdując się w tak trudnym położeniu jak nasze, przeciwnie, stanowiąc jeden z najpotężniejszych gospodarczych organizmów, uczuła się zaniepokojoną wzrostem konkurencji niemieckiej. Zażądała przeto, by wszelkie wyroby niemieckie, wprowadzane w granice Imperjum Brytyjskiego, nosiły wyraźny napis: *Made in Germany* (wykonane w Niemczech). Anglicy i Angielki nie tylko nie kupowali tak oznaczonych towarów, chociaż były one tańsze od angielskich, ale stronili od sklepów, które zbywały te towary obok krajowych. U nas wyroby zagraniczne są zbyt rozpowszechnione, pochodzą ze zbyt wielu źródeł, by można było żądać takich napisów. A zresztą, niestety, napisy te nie byłyby ostrzeżeniem, jeno zachętą. Tymczasem w Niemczech kupcy reklamują swoje towary jako „*echte deutsche Ware*“ (prawdziwie niemiecki wyrób)!

Fakty te zasługują na przypomnienie w czasach, kiedy obowiązkiem każdego obywatela i każdej obywatelki Polski jest dopomaganie w miarę własnych sił w osiągnięciu naprawy bilansu handlowego. Musimy więcej wywozić, ale przedewszystkiem musimy sprowadzać mniej towarów zagranicznych, a co z tego wynika, w większym zakresie korzystać z wyrobów produkcji rodzimej.

Ci, którzy przywykli do win i likierów zagranicznych, od jutra niechaj się ich wyrzekną na korzyść swojskich marek. Jeśli zaś te są dla nich niedość wykwiłtne, niech zostaną abstynentami, co będzie najkorzystniejsze dla zdrowia i kieszeni.

Skoro Polska jest krajem żyta, musimy spożywać więcej chleba, mniej białego pieczywa, mąka zaś amerykańska winna być bojkotowana przez każdą gospodynię, która posiada świadomość swych obowiązków względem kraju.

Stać nas chyba względem Polski na to samo, co uczynili Amerykanie wobec Francji w ostatnim roku wielkiej wojny, kiedy wszystką mąkę pszenną posyłano do Europy dla żołnierzy francuskich, nawykłych do białego chleba, w domu zaś poprzestawano na mące kukurydzowej, która gra tam rolę naszej żytniej.

Skargi na podrożenie smakołyków i owoców zagranicznych muszą ustać: nie stać nas jako Polaków na te smakołyki, nie stać nas jako zbiorowość polską, choć ten i ów może sobie pozwolić na płacenie cen nawet podwyższonych skutkiem wysokich stawek celnych.

Przedewszystkiem zaś musimy wykluczyć z użytku zagraniczne materiały na odzież i wogóle przedmioty konfekcji. Gdyby się znalazło grono eleganckich, prawdziwie eleganckich pań, które własnym przykładem rzuciłyby hasło: *precz z jedwabami i perfumami zagranicznego pochodzenia!* poszedłby za nimi napewno tłum tych, któreby je i tym razem, jak we wszystkim wogóle, naśladowały.

Nawet kiedy chodzi o zdrowie, musimy, o ile możliwości, ograniczać się swojskimi środkami leczniczymi. Premier Grabski popełnił wielki błąd, że wprowadził 500 złotych paszporty tak późno. Ubiegłej zimy Riviera roiała się od Polaków, jak gdyby w Polsce był niebywały dostatek i szczególnie pomyslnie czasy. Latem zaś wywozili pożyczone grosze z kraju nawet ci, którzy nie mieli na pobyt na miejscu. Znaleźli się naraz pobożnisie, którzy musieli nieodzownie być w Rzymie w „roku świętym,” choć w kraju nigdy noga ich w kościele nie postaje. Inni wyjeżdżali zagranicę, bo jak mówili, tam jest taniej, niż u nas. Przypomina to te panie, które o każdej nowej sukni mówią: „*To stary gałganek! dokupiłam tylko im przód, plecy i rękawy — reszta ze starego!*” Jeżeli obliczyć koszty podróży i wydatki, związane nieodzownie z każdym dalszym wyjazdem, podróż taka musi wypaść drożej.

Właściwie zaś, gdyby nawet w ostatecznym obliczeniu okazała się nieco tańsza od pobytu na miejscu, byłaby jeszcze za droga dla Polaka. Każdy grosz, wychodzący z Polski zagranicę, jest jeszcze jednym minusem w naszym bilansie płatniczym.

Przy czynieniu każdego wydatku, należy pamiętać o naszym bilansie handlowym. Bo równowaga tego bilansu — to równowaga istnienia Polski.

OD DJAGNOZY DO LEKARSTWA

Dużo już wody upłynęło od tego czasu, kiedy pisałam „Djagnozę“.

Było to jakby hasło, trwożnym pytaniem rzucone w ciemność—i dziwnie szybko doleciał mnie odzew, wypowiedziany na różne głosy, z różnych stron, na wyszcigi. Gdy pomyśle o tem pogotowiu czujnych duchów polskich, które skupiły się na chwilę dookoła mojej „Djagnozy”—to przedewszystkiem przypomnieć muszę jej pochodzenie...

Jest to rodzona wnuczka niewielkiej książeczki, wydanej przez mojego dziadka, Ludwika Wolskiego (posła do parlamentu wiedeńskiego) około 1865—7 r. pod tym samym tytułem. Autor analizował chorobliwy stan duszy narodowej po powstaniu i próbował kreslić nowe drogi dla zgnębionego i osłabionego społeczeństwa. Ośmieliłam się użyć tej samej nazwy, ponieważ duch obu tych głosów obywatelskiej troski, mimo przedziału lat 60-u, jest doprawdy głęboko pokrewny.

Ludwik Wolski był jednym z tych dalekowidzów, dla których nawet wówczas, w najciemniejszą noc po straszliwej klęsce, „Niepodległość miała być tylko stopniem, tylko etapem, w drodze do Polski przyszłości“.

Zanim jeszcze mój artykuł ukazał się w druku—już mi się wyjaśniło wiele ze stawianych znaków zapytania. A stało się to za sprawą pewnego skromnego pisma młodzieży*), o którym mało kto w Polsce wie. Ów to pierwszy głos współczesny przypominał mi, że nauka Chrystusa jest wiecznie żywym źródłem wielkości moralnej, i, że poza nią—tam, gdzie ona raz dotarła, nie może istnieć prawdziwy, głęboki postęp w doskonaleniu się dusz, ani indywidualnych, ani zbiorowych. I to przekonanie stało się podstawą, na której dojrzewał mój stosunek do naczelnego zagadnienia naszej zbiorowej psychiki. Wyczułam już ogólnie kierunek, a może raczej uświadomiłam sobie to, com czuła oddawna.

Bardzo charakterystycznym wydaje mi się, że zawdzięczam to właśnie ludziom znacznie od siebie młodszym. Czy nie nazbyt rzadko wogóle radzimy się Młodości? jej, co ma wieczyć świeży kontakt z tajemnicą bytu, niestępną jeszcze busolą instynktu?

A potem przyszła dyskusja na łamach „Bluszczu“—taka, jakiej nie śmiałam nawet oczekiwać. Intencje moje zostały w pełni zro-

zumiane. Raz jeszcze okazało się, że kobieta polska stoi bardzo blisko wszelkich zagadnień narodowego bytu—aż do ich głębin ostatnich.

Nie mogę całkowicie zgodzić się z p. Łopuszańską—bowiem jej pojęcie „najpilniejszego zadania“ nie pokrywa się z tem, co ja nazwałam najbliższym celem. „Wzycie się w sytuację wolnego narodu“, wychowanie głębokiej etyki „wolnych obywateli“, ukochanie i obrona niepodległości za wszelką cenę, to rzeczy naprawdę niezbędne już na dziś i jutro — ale są to raczej środki do jakiegoś bardzo wielkiego Celu.

Bo ja istotnie sięgam aż do zuchwalego pytania: po co żyje Polska? jakie jest prawo, wedle którego musiała zmartwychwstać? na co jest potrzebna światu?

Dopiero na tle odczucia tej naszej racji bytu nauczymy się naprawdę kochać odzyskaną Ojczyznę, bronić jej i wyzyskać wszechstronnie jej siły. Taką bowiem jest psychologia naszej rasy: jesteśmy albo wyniośli i bohaterscy, albo marni i niedołężni — nie potrafimy inaczej! Już Szczepanowski, stawiając wyraźnie tę kwestję, wskazywał, że daremnie pchają nas na drogę uczciwej, pracowitej, filisterskiej przeciętności Szwajcarów, czy Niemców. Tamtędy nie zajdziemy nigdzie, tylko zwyrodniejemy. Dlatego też nie potrafimy nigdy mocno kochać Ojczyzny dla niej samej jedynie: musimy ją kochać w jakiejś idei większej jeszcze.

P. Grzymałowska ideę tę widzi w chrześcijaństwie, skupiającem najlepsze siły ludzkości do walki z bolszewicko-materjalistycznymi systemami myślenia i działania.

Zgadzam się na to zupełnie. Sądzę nawet, razem z Jadwigą Marciniowską*), że chrześcijaństwo nie wypowiedziało bynajmniej swego ostatniego słowa, że czeka jeszcze pełnego rozwoju... i obyż to my właśnie bylibyśmy przeznaczeni do wyzwolenia jego twórczych mocy! Nie przez męczeństwo, lecz przez wolną twórczość na swobodzie wolno nam dziś wcielać Chrystusowe prawo miłości, zbliżać je do życia, szukać dlań najgodniejszej realizacji.

*) „Nasze Drogi“ pismo chrześcijańskiego Związku Akademików Polskich — Warszawa.

*) „Wartości twórcze religijnej myśli polskiej“.

P. Ceysingerówna, w przepięknym swoim artykule. „Dla czego żyć i za co umrzeć dziś warto“—wysnuwa cały olbrzymi program z tego jednego prostego drogowskazu. Bo przecie to wszystko. 1) uszlachetnienie moralności międzynarodowej, 2) pozyskanie serc naszych wszystkich umiejętności wewnątrz państwa, 3) mądra polityka federacyjna, 4) wpływ na uzdrowienie Rosji, 5) lepsze formy ustroju społecznego, 6) praca nad nową, intuicyjną filozofją polską—to wszystko jest tylko rozwinięciem idei chrześcijańskiej w tem położeniu, jakie jest naszym udziałem.

Tak płodną może się stać idea, którą ludzkość żywi się od 2.000 lat prawie, lecz w sposób dziwnie niepełny. Ta idea, za którą umierały z uśmiechem tysiące męczenników, która wydała setki świętych, która gromadzi dotąd miljardy ludzi do wspólnej modlitwy—nie potrafiła dotąd zdziałać, aby człowiek stał się człowiekiem nie wilkiem, lecz bratem.

Dopóki to się nie dopełni, nie przestaniemy czuć na sobie—my wszyscy, którym od dziecka czytano Ewangelię — ludzko-boskich oczu Chrystusa, pełnych nieśmiertelnego wyrzutu.

Po tej właśnie linii szła dawna Rzeczpospolita, imponująco mocnym krokiem—a załamanie jej stało się oczywistą przyczyną jej zmięczenia i wreszcie niewoli. Na tej też linii jedynie leżeć może wyjście z obecnego chaosu i bezsilny. Gdy Polska spojrzy w Górę i ujrzy tam gwiazdę swoją—wtedy dopiero może mocno stanąć na ziemi.

Dwa widzę najtrudniejsze postulaty, najcięższych, bo wewnętrznych wymagające przewyciężeń,—a jednak nieuchronne: realizacja braterstwa ludzkiego w stosunkach społecznych i w stosunku do innych narodowości, zamieszkujących nasze społeczeństwo.

Raz jeszcze zaznaczam, że są to cele na dalszą metę, nie domagające się przewrotu, lecz ewolucji—oby jak najżywszej! Na każdy z tych tematów można pisać osobne rozprawy—tu chcę tylko wyznać, że wierzę w te rzeczy, pozornie nieziszczalne, tak, jak wierzyłam w niepodległość przed wojną, gdy nas deptano bezkarnie.

Wiedząc o fatalnej przepaści, wykopanej rękami wrogów między nami, a naszymi dziejowymi braćmi—wierzę jednak, że padną przez

nią mosty pojednania, może nawet równie ścisłego, jak tamto dawne...

„Jako Trójca, tak jedyna
Polska, Ruś i Litwa“!

To hasło dziadów stanie się—jako żywo!—hasłem jeśli nie dzieci naszych, to wnuków. Byle tylko stale dążyć do złagodzenia nienawiści, rozumnie, a serdecznie, a cierpliwie, unikając iakiejkolwiek krzywdy, garnąc do siebie to wszystko, co mniej odporne, dając na każdym kroku wyższe wartości.

A kwestja społeczna? Myśląc nad tem od lat wielu, coraz mniej przywiązuję wagi do znaczenia radykalnych zmian formy. Bez wątpienia, treść tworzy sobie formy nowe—ale też i treść właśnie jest tu najważniejsza.

Wytwarzać jak najwięcej dóbr materialnych, z tą czystą myślą i wo-

lą, aby nikt w naszym kraju głodu nie cierpiał—odczuwać cudzą niedolę, jak swoją własną i tem samem szukać na nią rady najbliższej i najprostszej, nie burzeniem

*) W znanem zdaniu ewangelicznym: „Królestwo moje nie jest z tego świata“—opuszczono przy tłumaczeniu niezmiernie ważne słowo „teraz“, które podobno znajduje się w pierwotnym tekście.

Cytuję tę wiadomość ze wspomnianej książki Marcinowskiej.



czegokolwiek, lecz pracą twórczą—to mi się wydają wskaźniki najpoważniejsze.

Rzeczy to niełatwe i niebliskie—kto wie, które pokolenie po nas dożyje ich całkowitej realizacji? Lecz trzeba żyć w ich świetle i coraz szersze koło rodaków garnąć w ów krąg jasności.

Tak jest! wierzę, że gwiazdą przewodnią mojej Ojczyzny nie może być nic innego, jak ziszczenie Królestwa Bożego na ziemi. Tego Królestwa, które jeszcze „nie było z tego świata“, wówczas, gdy je głosił boski Nauczyciel, lecz teraz może już się ku nam przybliżyć*) i czeka tylko na tych twórców nieustraszonych, co by dłoń żyli jedynie i byli gotowi każdej chwili, kiedy potrzeba, radośnie zań zginąć,
Z. Zawiszanka.

MARJA GROSSEK-KORYCKA

F E L J E T O N

ŚWIAT KOBIECY

CZĘŚĆ II.

18

NOTATKI PSYCHOLOGICZNE

Widzę tę pannę Morsztyna... którą tak błagał poeta, aby posiedziała spokojnie przez pół godziny, gdyż nie można namalować jej portretu! Kręci się, jak fryga, szumiąc jedwabiem, szumiąc batystem, stukają wysokie korki, długie kolczyki trzęsą się i migoczą w nieustannych obrotach głowy, bransoletki brzęczą, wiewają wstążki i chmurki włosów nad czołem—z warkoczów powpinane wypadają kwiaty. Rumieniec co chwila, to wykwiła, to chowa się pod puszystą biel policzków, a w powietrzu tryska co moment kryształowy słup śmiechu—co moment też oko łzą zachodzi. Jeżeli się rozżali... to będzie płakała dwa dni i dwie noce... kobiety ongi wypłakiwały sobie oczy! A były takie optymistki! i takie wesołe! piosenka towarzyszyła każdej robotce, a tanecznice zapalone tańcowały... tańcowały do upadłego!

Melodyjne głosy kobiet rozlegały się po domu od świtu do późnej nocy..., jakżeby dziecko nauczyło się mówić, gdyby kobieta nie była tak gadatliwą?

Gina Lombroso dziękuje Opatrzności, że nie usposobiła kobietę myśleć logicznie.

Bo czyżbyśmy były takie wesołe, my, które mamy życie tak ciężkie!

Oto jest konterfekt waszej bab-

ki—a nawet waszej matki—do którego wy już, młode, współczesne kobiety, nic a nic nie jesteście podobne.

„Niestety!“ westchną mężczyźni... tak, ta miała w sobie moc kobiecości, stworzona była na to, aby czarować mężczyznę, który był uosobieniem powagi, refleksji i spokoju.

Rozkochałby się w niej dzisiejszy mężczyzna niewątpliwie.

Ale żyć z nią?... Żyć z tą kobietą onby już nie potrafił. Cóżby począł, gdyby mu oświadczyła, że boi się wyjść sama na ulicę?

Po cóż te utyskiwania na przeistoczenie się kobiety? Musiała się przystosować do powszechnej zmiany wszystkiego, dopasować, się do tego, co jest—a by żyć.

Życie dzisiejsze ma rękę twardą, a czasem w jeżowej rękawicze... Przystosowały się też do niej wszystkie skóry, budując sobie grubszy naskórek. Z kobiecości startym został jej brzoskwiniowy puszek. Kobieta utraciła dziecięcą świeżość wrażeń i dziecięce ich natężenie. Nerwy jej stępały, skreślone zostały z jej charakteru dwie bardzo niewieście cechy: bojaźliwość i wstydlivość.

Wszyscy jeszcze pamiętamy kobietę lekliwą.—Na wiwat pod oknami huknęły moździerz... (Damy i Huzary)—Kobiety mdleją... Filuterny pułkownikkomenderuje „Grzesiu wal jeszcze“ i z okrzykiem „Nie trzeba! nie trzeba!“ pozrywały się na nogi wszystkie, ocuczone raptem... Fredro mruga na nas jednym okiem „Już ja się na tem znam: KobiECE fortele!“

Kobieta, będąc istotnie lekliwą, szarżowała to jeszcze, gdyż bojaźliwość, jako wybitna cecha kobiecości, zaliczała się do wdzięków! więc podkreślano ją przy każdej zrzeczności. Ale po cóż sięgać aż do Fredry! — któż nie pamięta „och! ach!“ w powozie, kołyszącym się po wyboistych drogach? Któż nie przypomina sobie przeraźliwych wrzasków i susów, gdy niespodzianie mysz wyskoczyła z szafy?..

Ach, tak to jeszcze żywo w oczach stoi, a takie to już w stosunku do dzisiejszego świata starodawne.

Pisać dziś psychologję kobiety, to strzelać do jaskółki w locie: kobieta w oczach się zmienia. Ta, która tak niedawno bała się strzelby nienabitej, dziś idzie na wojnę sama i nie tak jak wprzódy: wyjątkowo, ale masowo. Wdziera się na alpejskie szczyty, lata aeroplanem. Naraża się na wszystkie

niebezpieczeństwa narówni z mężczyzną.

Bojaźliwość kobieca znikła. Była więc nie, jak mniemano, naszą cechą rdzenną — ale nabytkiem, wypielegnowanym przez pewien régime życiowy, uzgodniony z pewnym ideałem kobiecości.

Wszyscy też pamiętamy kobietę ogromnie wstydliwą zanadto, chorobliwie! Przesuwają się przed moją myślą woskowo-przezroczyste twarze paru moich znajomych, które chorowały przez długie lata na uporczywe choroby kobiece i które pomarły, nie poddawszy się badaniu ginekologa. Piętnastoletnia panienka ciężko zaniemogła, gdyż podróżując z ojcem, wstydziła go się zapytać o gabinet z dwoma zerami. Ślub?.. upoważniał mężczyznę do łagodnego zgwałcenia kobiety, która dodrowolnie nie oddawała się... chyba że już była po jakimś innym ślubie...

Nazajutrz po zawarciu małżeństwa nieraz mężczyzna rozpaczal: „Cóżem ja zrobił?! myślałem, że żenię się z kobietą, a to jest dziecko, które śmiertelnie przestraszone woła mamy“! A przecież — to było tak łatwo się do-

myśleć, że piętnastoletnia czy ośmastoletnia dziewczyna nie kobietą jest, ale dzieckiem!.. Wszehmocny przesąd: „Kobieta dojrzeła wcześniej, zawiązywał oczy... Panna lat dwudziestu czterech nazywała się już: „stare pudło“ — a dziewczynie piętnastoletniej kładziono czepek na głowę, sadzano ją na kanapie i wma-wiano w nią, że jest matroną. W tych warunkach, przystosowywując się do pięćdziesięcioletniego człowieka, który był jej mężem, rzecz prosta, musiała się zestarzeć.

A młoda, czy stara, przy strasz-nem ubóstwie [przeżyć i doświadczeń, wstydliva więcej jeszcze z lęku, niż wstydu, była do śmierci dziecinna.



Odskok jest rzeczywiście nadzwyczajny! Kobieta dzisiaj wychodzi na ulicę, narzuciwszy na gołe ciało kolorową koszulę, kusą, ciasną i przezroczystą...

Mojem zdaniem nie dowodzi to jeszcze, aby koniecznie miała być dlatego zepsuta i wolnych obyczajów!.. Nie!.. to tylko świadczy o tem, że skórę ma grubszą, nerwy stępione i otrzaskana jest z mężczyzną. Stępienie ogólnej wrażliwości pociągnęło za sobą stępienie wrażliwości płciowej. Ona, która musi występować na wszystkich polach do konkursu z mężczyzną, nie może być płochliwą antylopą...

Od lat najmłodszych koleguje z chłopcami w szkole koedukacyjnej, skautka, harcerka, sokolica wyprawia się z młodzieżą męską w las, w pole, obozuje nocą.

Ja wierzę, ja najświęciej wierzę, że te młodziutkie pary spędzają noc na liczeniu gwiazd na niebie — ale, być może, nie wszystkich?!.. Studentka medycyny zmuszona jest poznawać najtajniejsze skrytki ciała ludzkiego i najsekretniejsze ich funkcje z wykładu mężczyzny w audytorjum pełnem mężczyzn.

(c. d. n.)

N. SAMOTYHOWA

KROŚCIENKO

2

II.

SPOTYKANI LUDZIE.

Ludzie miejscowi, z którymi spotykaliśmy się w Krościenku i wśród okolicznej przyrody, posiadają szczególnie wdzięk w obcowaniu.

Mają dziwny, wrodzony dar miłej mowy i życzliwego gestu.

To, co gdzieindziej jest wynikiem finezyjnego wychowania i wyrobienia przez czujną i umiejętną szkołę — tu wypromien owuje samo, prosto, swojsko i swobodnie i wyraża się w ujmującem brzmieniu głosu, dostojnej postawie, szlachetnym ruchu i mądrym, a przyjaznym wejrzaniu.

Obolałe od szorstkości miejskich doznawanie styka się tu ze społeczeństwem, która — jakgdyby się uchowała, odgradzona górkami od reszty świata — w jakiejś prostej, przez samą naturę wskazanej, a jednak ogromnie wysokiej kulturze.

I rzecz naprawdę zastanawiająca: oto tęsknota do miękkich, grzecznych, uprzejmych ludzi, tak brutalnie i nieustannie chłostana przez

twardość powojenną — znajduje ukojenie w oazie pienińskich gór, głodujących na przednówku i bardzo ubogich, gospodarujących nieumiejtnie i lichy, brudnych i przeważnie niemających pojęcia o sprawnem, celowem urządzaniu sobie życia i wykorzystaniu darów natury i własnych zdolności.

Wiadomą jest rzeczą, że zakopiańskich autochtonów zepsuli bardzo ludzie „dółscy“, snobi i snobki z miast. Krościenko i okolica po Nowy Targ (nie mówię o Szczawnicy, gdzie jest już gorzej) — została psychicznie sobą.

Teraz, już w Warszawie, słuchając furkotu aeroplanów, skrzeczenia samochodów, łoskotu tramwajów i wiedząc, że na ulicach tłoczczą się i wymijają z góry niechętnie usposobieni względem siebie ludzie, myślę z wdzięcznością o ludziach Krościeńskich, poznanych bliżej, lub tylko spotykanych na wirkach, w dolinach, pod lasami, na mostach i nad Dunajcem. którym żadne wyrachowanie, żaden „interes“, jeno prosty nakaz wew-

nętrzny dyktował tę umiejętność ludzkiego, społecznego postępowania.

W tym to, a nie w innym ludzkim świecie Emil Zegadłowicz znalazł nowoczesnych polskich świętych, ośnionych boskimi wizjami prostaczków.

Podobny wyrzeżanej w drzewie figurze świętego był ślepy żebrak, wsparty nieruchomo o przesła Szczawnickiego mostu. Ujraliśmy go nagle, zbliżka, tak bardzo zdawał się zrośnięty z całością krajobrazu. Smukły i chudy, stał wyprostowany, z głową lekko wzniesioną i podaną naprzód. Czuwał, zasłuchany w głosy świata. Patrzące wgląd, niewidome oczy, tkwiły w twarzy bladej, jasnej, spokojnej, lecz bardzo wynędzniałej i smutnej. W stroju górala: białych niegdyś portkach i guni, z kijem w rękach wyglądał jak prawdziwy świętek tych stron.

Nie żebrał; nie modlił się; nie prosił i nie narzucał sobą, gdyśmy

się do niego zbliżyli, coś jakby zdziwienie, jakby lekki podmuch zycia, wionęło przez jego twarz. Poczem znów zastygł w swej postawie bezgranicznie osamotnionego.

Patrzac na niego, zobaczyłam, skąd się wzięli Chrystuse frasośliwi i święci z kaplic małopolskich.

„Niech będzie pochwalony! Ka tak idziecie, panowie? Pewnie na przechadzke? Utrudziliście się bardzo“, zapytała nas niemłoda, czarnooka góralka, widząc odpoczywających w drodze na „Marszałka“.

Zatrzymała się. Piesek jej przyjaźnie kręcił ogonem i zbliżał pysk do naszych rąk. „A skąd jesteście?“ pytała dalej — „ja idę stamtąd“, wskazała ręką: „idźcie na Lubań. Bardzo pikna góra i pikne tam lasy. Mój ta bacował tam kilka roków bedzie i sery wyrabiał. Tera ni...“, ciągnęła rozmowę, pełną przydźwięków miłych i przyjaznych.

Inna, również kobieta starsza, zajęta żniwem, oderwała się od pracy, widząc nas idących i zaczęła się dzielić wrażeniami z przelatującego właśnie ponad polami aeroplanu.

Widziała go w tych stronach po raz pierwszy. Lecz w „Ameryce“, skąd niedawno powróciła, widywała takie „latawce“ często.

„A ka tak idziecie, panowie?“

„W Ameryce“ — to się powtarza raz poraz. Wielu górali widziało nową półku'ę i po latach zbierania groszy—powróciło.

„W Ameryce“ — i „na wojnie;“ a potem „na Syberji“.

„W Ameryce“ był ten dwudziestoparoletni chłopak, kościelny, a równocześnie pastuch księżowski z Grywałdu, pasający proboszczowe krowy pod pięknymi drzewami podwórza kościelnego. Dzieckiem małym będąc, wywędrował z rodzicami za morze. Tam chodził do szkoły i nauczył się czytać. Wrócili przed kilku laty. Ma złą wymowę i jest niedorozwinięty. Jednak, zobaczywszy nas pozdrowił i z ogromną gościnnością zajątraskał się i zakrzętał około znalezienia kluczy i wprowadzenia do wnętrza kościoła.

Tu, chwiejąc, jak wahadłem, swą wątłą postacią, opowiedział nam swoje dzieje i pokazał drewnianą rzeźbę Madonny, wydobytą ze składowki. Sami dojrzeliliśmy zniszczone malowidła na drewnianych ścianach, ciekawy i ładny obraz Matki Boskiej—na wiek XVI wyglądający—pod chórem i rzeźbę w kruchcie.

Kościółek śliczny, jedlinowy, o spadzistych dachach z kogucikiem na wschód, szerniały i stary; odnawiany był w 1618 r. A że jest „z jedli“; więc górale mówią: „w Grywałdzie kościół z jedli“.

Wojna pozostawiła wspomnienia prawie w każdej rodzinie. Bitew tu nie dyło.

Lecz na Syberję do obozów koncentracyjnych los zapędził wielu górali jako jeńców austriackich. A tam działo się różnie.

Jeden ze spotkanych, chłop zdrowy i rzeźki, opowiedział swe dzieje: udział w partji Czumy, kolejne przedzierzganie się własne w różne skóry: w białą lub czerwoną, zależnie od okoliczności. Brał na się te skóry łącno, czynił to zrećnie i umiejętnie, byle wyżyc i wrócić.

Wrócił zdrowo i cało. Pozostała mu zapewne tylko ta wygodna umiejętność wybierania co łatwiejszych dróg.

Inny zmarnował się — może na zawsze.

Jan Komorek. Szliśmy miedzą pomiędzy łąkami. Nad świeżo skoszonym sianem trudziło się jeszcze dwoje ludzi; grabiło je i składało w stertę. Dwóch małych chłopczyków tarzało się wśród niezebranych jeszcze kopek, przeszkadzając rodzicom.

Jak zwykle: „Niech będzie pochwalony“.

Miało się ku zachodowi. Po upalnym dniu — wilgotna świeżość. Różowiejące pole. Spokój i dosyt w naturze. Beztroska i nieobecność wysiłku. Wszystko — „jak na obrazku“ — ładne; i nawet ci kończący swą pracę, ludzie — jak „część krajobrazu“.

„A dokąd tak państwo idą? Za późno już na wycieczkę“.

„A gdzie mieszkacie w Krościenku? A czy na długoście tu przyjechali?“

Odpowiedzi nasze.

Nawiązuje się, jak tu zwykle, łatwo prostą, szczerą rozmową, w której górale prędko przechodzą do konkretnych, istotnych spraw własnego życia.

Mówi głównie on, któremu wi dać ciężko i wstyd, że pracuje powoli, podczas gdy żona uwija się żywo, energicznie, robiąc za dwoje.

Był na wojnie. Potem w niewoli; na dalekiej Syberji we Władywostoku. Wyjeżdżał rosły, zdrowy, chłop na schwał „pikny“, „co ta za chłop był“, mówiła potem z podziwem nasza gospodyni. Wrócił nędzarem fizycznym.

„Przecież ja jesce czterdziestu czterech roków ni mom, a juz ze mnie dziad, prosze państwa. Co sie ze mnie zrobiło? Skóra i kości ino zostały. Mom tylko seć zębów, wszystkie straciłem z tych chorób, co je miałem,“ mówi, rozchylając wargi i dotykając palcami pustych, obnażonych dziąseł.

„Jusz bym wolał zemrzeć, a to kobito na mnie robić musi. Ledwie krowy, i to nie zawsze zagonić mogę. Jestem ciężarem“.

Istotnie mówił to nie stary jeszcze, ale wątły, wychudzony, o zapadłej piersi człowiek, wyglądający na wynędzniałego inteligenta w góralskim ubraniu.

Oczy bez blasku, jakgdyby stale zapłakane, o czerwonych powiekach patrzyły bezradnie, bezsilnie i smutno. Zwiotczałe nogi stąpały niepewnie. Nogi te właśnie, to główne źródło niemocy: mieści się w nich zadawniony, bolesny reumatyzm, zmuszający Komorka do długich dni nieruchomego leżenia. Trapią go i inne dolegliwości „z przeproszeniem państwa“. Życie stało się niemiłe.

A że życie tu jest twarde, wymagające ciągłej pracy, stąd ocenianie każdego członka rodziny z punktu widzenia jego wydajności. Choroba czyni człowieka zbytecznym, a winny jej czuje się wyrzucenym za nawias, tolerowanym jedynie w najlepszym razie.

Zamożni krewni Komorka: „czy uwierzą państwo, jakie to straszne? mówią, że ja udaję chorobę, że przez lenistwo nie chcę pracować“!

Stara się Komorek, jak dotąd, bezskutecznie o pensję inwalidzką i o prawo leczenia się w Nowotarskim szpitalu.

Z opowiadań Jarzynowej dowiedzieliśmy się potem, że Komorek był kochającym bardzo synem, którego nagła śmierć matki do reszty powaliła z nóg; powiedziano nam również, że żonę ma zaradną, przemyślną, trzymającą w garści rozlatujący się i zachwiany byt domu.

Człowieka tego zmiądzzyła wojna. Innych gniecie rok rocznie przednówek. Małorolni, mający szczupłe morgi żyta i owsa, przeważnie owsa, nie dociągają do nowych zbiorów. Zwłaszcza gdy przychodziła ta straszliwych Świętojańskich powodzi. Nawet zamożni gospodarze nie mają już mąki w czerwcu. Cóż mówić o bezrolnych!

Jeden taki przyszedł w Krościenku tego lata do księdza po pomoc; powiedział, że odbierze życie sobie i dzieciom, gdyż nie ma co im dać jeść i nie ma ani grosza, by im kupić chleba.

KRYSTYNA ROSSETTI

CZYLI TY NIE DBASZ?

*Kocham i wraz nie kocham: Panie, serce pęka,
Że, nie kochając, kocha.*

*Opowitemu w blaski... Panie, męka
Zda Ci się moja płocha?*

*Nie kochasz mię, żeś w chramie swym odemnie
Nad nieba skrył się szczyt?*

*Kocham Cię w chwale, tu, i w Twojem ciemnie;
Przygarnę serce twe złamane; cyt.*

*Boże, był dobry dla mnie czas, co za mną leży
I nigdy już nie wskrześnie,*

*Gdym świeża i radosna... Któż był świeży,
Radosny?—ja; boleśnie*

*Bez światła dziś, bez tchu od ciągłej troski,
Och, w jakże długą noc?*

*Ja baczę, jakąś jest, ja, strażnik Boski.
Mdiejące przyjmę serce; zbrój się w moc.*

*Cyt, serce, mocne bądź, na dziś; lecz jutro, Panie,
Co będzie z jutrem, Boże?*

*Czy za znój cisza, mir za troskę wstanie,
Ruń żywa na ugorze,*

*Na onym pustym dzisiaj dla mnie grobie,
Czy radość znajdzie się?*

*Czylim nie umarł, dziecię gwoli tobie?
Nie tobem żyw? swe jutro zostaw Mnie.*

MARJA DĄBROWSKA

NAJDALSZA DROGA

3



ic jej więc oto nigdy nie powiedzieli, tem bardziej, że z Pietrkiem źle się skończyło, bo się zapił, co też Zuzi do zdrowia nie pomogło.

Pilnie tylko chodzili do kościoła, składając dziękowanie za polepszenie bytu i paląc świece na intencję odwrócenia Żuzinej boleści i przebaczenia jej grzechu.

W tym stanie rzeczy nadeszło lato suche i bardzo gorące.

Julka pilnie tańcowała niedziela mi ze swoim narzeczonym — niczemu jednak nie chybiając ani domowi, który wciąż nawiedzała — ani dzieciom ze dworu, które miała pilnować. Dzieciom tym zachciała raz pokazać, jak na graniu w niedzielę Szczepan tylko z nią będzie tańczył. — Z nią, a z nią, gdyż tak już zawsze czynił. Dzieci pomyły się czysto i ładnie poubierały — żądając, żeby im dano wszystko jak do gości. — Czekwały od samego rana niepewne, czy zjadą zjeść obiad, zanim się zaczną. Tańce odbywały się na izbie bandosów. Sienniki uprzątnięte stały rzędem na dworze pod ścianą, ciepłe od spieki. Wewnątrz powieszano gałązek, przez co wydawało się chłodniej. Dzieci stały na dworze pod oknem i patrzyły. Było jeszcze mało ludzi. Ktoś rozmawiał i próbowano skrzypiec, które niewyraźnie bełkotały. Lecz wprędce zrobiło się tłoczno.

Julka wkroczyła w ciasnotę wesoła i śmiejąca. Dzieci widziały jej dowcipne czoło z żółtymi kędziorkami, jej promieniste oczy, czerwone usteczka o czarnych zębach, pigowaty nosek i całą drobną postać, nurtującą przez tłok.

Teraz miał Szczepan zaraz podbiec i chwycić ją do tańca.

Nie podbiegł i nie chwycił, gdyż tańczył już z Andzią Sobczakówną.

Dzieci wołały:

— Tańcz z Julką — tańcz z naszą Julką!

Lecz jego modre oczy pod olbrzymimi brwiami nie zdawały się widzieć nic prócz białych włosów Andzi Sobczak, wysmykających się z gładkiego uczesania leciuchniami.

Julka stała cierpliwie z uśmiechem przyrośniętym do twarzy.

Ktoś podszedł do niej i zapytał:

— Co ty tak patrzysz? Na swojego Szczepona patrzysz? Ady on już mo dane z tom Andziom na zapowiedzi.

Wtedy Julka zaśmiała się raz, czy dwa razy i zaczęła ostrożnie mijać tancerzy z bląhą pociechą, że może jej w tłoku nie zobaczyli. Może tylko ten ją widział, co jej taką nowinę powiedział nie bardzo dobrą. Ludzie jak tańczą, to głowy nie mają. Lecz teraz ona jej też nie miała. Nieprzytomnie patrzyła na dzieci — które ją obkoszcowały. Chciała im powiedzieć: Zyg-zyg-zyg — jo nomyślnie powiedziałam, a wyśta uwierzyli. Myślała nawet, że to mówi, lecz nie, żadnych nie rzekła słów, tylko wykonała ten znak, skrobiąc palcem o palec — i wtem zaczęła uciekać.

Słyszała, że dzieci ją gonią, lecz na szczęście odwołali je dokądś po drodze. Aż się zadziwiła, jak prędko minawszy dwór zabiegła w aleję ponad stawem.

Zapytała niecierpliwie i głośno:

— Co się zrobiło? Co się zrobiło? lecz nikt ma się rozumieć nie odpowiedział.

Tedy w dalszym ciągu głośno rzekła:

— Co ja za głupia byłam, że takem uciekała. Zaroby my sie zesli. Zaroby sie wydało, że nieprawda.

Tchnienia wiatru popłoszyły ciszę, jaka panowała w śniadym cieniu alei. Przez to poruszenie zieleni, dotknięta wiewem Julka ochłoneła z gorączki.

Nic by się nie wydało. Wszak widział ją, a udał, że nie widzi. Odrazu przypomniały jej się rozmaite rzeczy, wszystko się razem poskładało, na co zważać nie chciała, a co się teraz potwierdziło w tych słowach mocno prawdziwych:

— On mo już z tom Andziom dane na zapowiedzi.

Tedy chciała się skończyć z boleści. Minęła cieniste kasztany, zabrnęła w stary ogród i potkawszy się o coś upadła, myśląc, że tu zostanie na wieki.

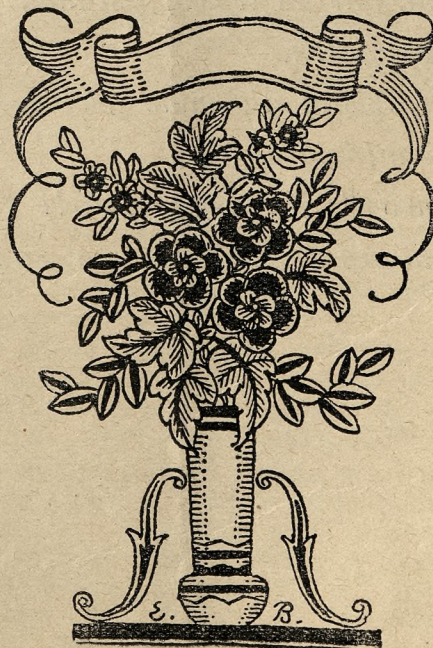
Miejsce to, na które ją rzuciła rozpacz, było płaskim dachem starej lodowni, poszytej suchą trzciną.

Przewracając się z boku na bok na tej szarej pościeli, Julka odrywała garściami trzeszczące badyle i rozrzucała je w koło. Nic to jednak nie pomagało. Myślała, że się na śmierć zapłacze, lecz i to się nie stało — choć okolne krzewiny mętniały i rozpływały się w oczach od łez niewyczerpanych. Zmęczyła się, płacząc, jakby dzień cały na warzcie pracowała, więc niekiedy ustawała i przypatrywała się cokolwiek temu, co było naokoło. Żółty ptak przemykał pocichu w zmroku, jaki czyniły pomiędzy sobą liście. Pewno to Bogu wola. Za stawem na drodze się coś kurzyło. Widać było tamto lub owo. Trzcina czemś pachniała. Kot przesunął się koło zarośli — nad samą wodą — wejrzął na nią, z lekliwą drapieżnością i otworzył paszczę. Pewno maiuknął — lecz ptaki tak tu śpiewały, że nie było słyhać. Poszedł niby to niedołącznie — a w gruncie tak zgrabnie, że ani listka nie potrącił.

Julka obejrzała się i rzuciła za nim grudką ziemi, gdyż pewno przyszedł na ptaki. Uczyniwszy to, znów z całych sił płakała. Najgorzej, że do nikogo nie było można iść z tym wstydem. — Ani do mamy, ani do kogo. Tłukła głową po ziemi, mówiąc w płaczu — o tata — tata, aż nakoniec usnęła jak zabita.

Gorące popołudnie toczyło nad nią dalej swe blaski.

Nadbrzeżne krzaki rozstępowały się tu i widać było na środku stawu kępę, na której hałasowały wróble. Woda klaskała cicho i szperała przy brzegu, wyciągając z pod niego jakieś nicie bure i złote, wiewające się w głębi. Niekiedy spokój miejsca przerywało wtargnięcie wiatru. Zaszumiał rozmaicie, po liściach dmuchnął wezbranym oddechem na wysokości drzew,



przyspieszył nieco drobny ruch wody i syknął poprzez trawy. Lecz i wiatr uciszał się ku zachodowi.

Cień, w którym leżała Julka, zesuwał się z niej pomału i nakoniec słońce stanęło nawprost jej twarzy między drzewem i drzewem. Wtedy obudziła się i uśmiechnęła. Zrazu nie mogła pojąć na co tu spała koło stawu. Wtem przypomniała sobie, lecz już nie zaczęła płakać.

Roztaczanie się słońca nad światem czyni niepotrzebnem inne szczęście, wystarcza, aby człowiek pobłogosławił najtwardsze godziny bytu. Napita jego promieniem Julka doznała mocnej pociechy. Pomyślała sobie rozsądnie choć nie wcześniej, że się sama ze Szczepanem porozumie, nie trzeba jeszcze popadać w rozpacz.

Zebrała się, otrzepała ze śmieci i poszła ku dworowi. Gdy jeśli on może kogo szuka, to nie tu, a tam szukać będzie. Po drodze zdawało jej się, że gdzieś bardzo daleko hałas wre. Przypomniała sobie, że śniły się jej okropne krzyki. Postąpiła nasłuchując, lecz uszy skłaniały się ku przeciwnej stronie, ku tej, skąd może kto nadejdzie mocno skruszony.

Rozejrzała się. Naokoło klombu przede dworem każda kruszyna wygracowanego zajazdu spoczywała niepotracona. Słońce poprzesywało ogród cienkimi purpurowymi promieniami i poczerwieniło śniade cienie.

Julka usiadła u progu otwartej kuchni. Tam też nikogo nie było. Widać wszyscy poszli się w pole przejść, jak zwykle czynili w święto po podwieczorku, gdy wiatr się uspokoił. Sień była wysypana grubym piaskiem, niewiele gdzie zgniecionym. W stągwi odbijał się kawałek nieba. Przed kuchnią w bżach gruchała turkawka. Jaskółki latały bardzo wysoko na pogodę. Nikt jednak nie nadchodził. Julka zobaczyła, że dwie kury zostały na noc w krzakach, utaiły się chytrze i śpią na gałęzi. Wstała żeby je spędzić i stanęła po drodze jak wryta. To, co jej się zdawało być krzykiem — krzykiem też było i zaczęło się nagle rozlegać niedaleko. Można było już rozróżnić głos pana, ale prócz niego krzyczeli także ludzie, jakby nadchodząc z daleka.



Julka poznała chrypiący krzyk stelmacha. Jaskółki skwirzyły pod wieczerniejącem niebem, a on ryczał.

— Sikawka być powinna w porządnym dworze! Sikawka być powinna! Teraz głosy przestały się zbliżać, więc poskoczyła ku nim w stronę bramy podwórza.

Przy stawku, gdzie owce zawsze myją, stali wszyscy: pan, pani, dzieci — ludzie — i tam właśnie krzyczeli jakby to w wodzie się co zrobiło.

Nagle ruszyli naprzód i znów się zatrzymali, tym razem na drodze i znowu w drogę tupiąc wrzeszczeli.

Ci i owi odrywali się od gromady i rozchodzili się.

Julka zabiegła im drogę, pytając. Zgorączkowani, zajadli jeszcze od krzyku, odpowiadali na chybił trafił, a potem — odwracali się i jeszcze stojącym na drodze wygrażali.

Ci krzyczeli, że ludzkim krowom źle dają, to dlaczego ich ludzie mieli na rów nie wygnąć, żeby się popasały. Tamci — że się krowy na rowie pasły, ale że koniczyny nikt nie siekł — pan sam kazał tyle wysiec. Inni się darli, że ludzie nie zbóje, by mieli pszenicę podpalać.

Lecz Julka rozumiała dopiero coś nie coś gdy zobaczyła ojca. Wynurzył się razem z panem z pomiędzy ludzi — i we dwóch idąc straszliwe rzeczy sobie mówili, krzycząc aż echo dzwoniło w pługach pod szopą.

— Od tego cie mam!! Na to tu jest ten chleb! chrapał pan.

A ojciec — nie inaczej tylko w te słowa:

— Jo ta na waszem chlebie zębów nie nabyłem.

— Aleś machory nabył — żeby zboże podpalić.

A kaj som te złekrwie, co nałgali, że jo ta kurzył. Niech mi tu stanom

do ślipiów te szczekocze co człowieka chcom zgubić.

— Mnie gubisz. Z torbami psia-krew pójdę jak tak będzieta się rządzić — ale ty pierw pójdiesz!

— Ady nie byde czekał. Już mnie tu nie oboczycie, żebym miał na polu nocować.

— Idź nocuj, na tem polu, cošta mi go spaliły! Idź nocuj.

— A chto te pole orol? — to by je ten som co je orol, tero polil? Jak was tu bydom polić to nie od chleba zacznom.

— Idź nocuj! krzyczał pan już w obrębie dworskiego dziedzińca — z tym krzykiem na ustach zatoczył się i chwytając za krzak róży, krzak ten wyważył z korzeniem.

Wtedy nastąpiła cisza. Jedni podbiegli ratować inni spokojnie odchodzili.

Julka chciała pobiedz za ojcem, lecz ją na gwałt posłano ze dwora, żeby kazała zaprzęgnąć i jechać po doktora.

Pan zachorował — wołała, biegnąc do stajni.

Przy studni paru fernali poilo konie. Chodzili koło zajęcia w nasłuchującym milczeniu, spozierając uważnie w stronę dworu.

— Gdzie sie to ta pszenica spaliła? zaszepiała Julka i płacz jej stanął w oczach.

Pokazali, milcząc, otwarte wrota pomiędzy stodołami. Wysła tamtędy na pole i zobaczyła.

Olbrzymi łan — największe pole pszenicy w całym folwarku zostało zdmuchnięte przez ogień — rozsypało się w czarną perzynę, nad którą zachodziło teraz słońce.

To właśnie oto działo się to nie-szczęście spadło na ludzi gdy ona w ogrodzie sobie spała i nad sobą płakała — śniąc, że ktoś krzyczy.

Nie wróciła teraz do dworu tylko poszła do swoich.

Siedzieli pociemku jak pobici. Zrazu nie bardzo nawet chcieli co mówić. Nie bardzo mogli. Józio spał zdrowo na pierzynie u mamy sam jeden tylko szczęśliwy.

— Widział ty Julka — rzekła nakoniec matka — ani sie człowiek nie spodział, jak znów musi wiatru po polu szukać.

Drogo my, to drogo zapłacimy, że my sie tu troche odgryźli stęknęła. Bodaj by my sie wcale tu nie przyttukli.

(c. d. n.)



JOSEPH CONRAD (JÓZEF KORZENIOWSKI)

TŁUMACZYŁA TERESA TATARKIEWICZOWA

Z POWODU DOLARÓW

5



potykał go już nieraz w życiu, więc zawołał: *Bam tzi Mais je ne connais que ça!* I użył tak pogardliwie nieprzyzwoitego epitetu, że gdy potem

wyraził się o nim „une chiffé” (gałgan) brzmiało to, jak komplement.

„Można z nim zrobić, co się chce”, zwierzał się w zaufaniu. „Tak trzeba zaraz pojechać do tego... (tu znów użył dla określenia go epitetu, nie nadającego się do powtórzenia). Niech mnie djabli porwą, jeśli nam się nie uda ten „coup”, który nas wszystkich na długo postawi na nogi”.

Wyobrażał sobie, że dolary te, przetopione na sztaby, sprzedadzą gdzieś na wybrzeżu chińskim. Nie wątpił ani na chwilę, że uda mu się uciec po tym coup, od czegoż było prao Niclaus'a.

Uniesiony entuzjazmem wyciągnął kikuty z kieszeni i wymachiwał nimi. Nagle, spojrzawszy na nie, podniósł je na wysokość oczu, wymyślając, przeklinając i uskarżając się na swe nieszczęście i bezsilność, aż wreszcie Niclaus uspokoił go.

Lecz to on ułożył cały plan wyprawy i jego energia podniecała tamtych dwóch współników do czynu. Żadnego z nich nie można było zaliczyć do gatunku odważnych korsarzy, a Fector w całym swem awanturniczem życiu nie użył innej broni, niż potwarzy i kłamstwa.

Tego samego wieczora popłynęli do Bamtza na prao, które, po wylądowaniu z niego orzechów kokosowych stało od paru dni puste pod mostem, na kanale. Przepłynęli tuż obok dziobu „Sissie” i przyglądali jej się zapewne z zainteresowaniem, jako przyszłej scenie, na której mieli dokonać swego czynu bohaterkiego, wielkiego swego dzieła, le grand coup!

Żona Davidson'a, już na kilka dni przed jego wyjazdem, ku wielkiemu jego zdziwieniu, gniewała się na niego. Nie wiem, czy zdawała sobie sprawę z tego, że pomimo anielskiego profilu była to istota w najgłupszy sposób uparta. Niecierpiała podzwrotnikowych okolic i wymawiała mu, że ją przywiózł tu, gdzie nie miała nikogo bliskiego; nadomiar złego teraz i on stracił

cił dla niej wszelkie względy. Miała przeczucie jakiegoś grożącego nieszczęścia i, mimo tłumaczenia Davidson'a, nie mogła zrozumieć, dlaczego się z tem nie liczy. Ostatniego wieczoru przed wyjazdem Davidson'a zapytała go podejrzliwie:

— Dlaczego ci tym razem chodzi o to, aby pojechać?

— Wcale mi na tem nie zależy, zapewniał ją poczciwy Davidson, ale po prostu nie mogę inaczej; nie mam nikogo, ktoby mnie zastąpił.

— A więc, niema nikogo, ktoby cię zastąpił — rzekła odwracając się z wolna.

Była z nim tak chłodna tego wieczoru, że Davidson z poczucia delikatności pożegnał się z nią odrazu i poszedł przemocować na statek. Czuł się bardzo nieszczęśliwym i co dziwniejsze, powodem jego smutku był on sam, a nie jego żona, która wydawała mu się bardziej obrażona, niż smutna.

W trzy tygodnie później Davidson, zebrawszy znaczną liczbę skrzyń z wycofanemi dolarami (były one złożone w magazynie na rufie okrętu, dokąd prowadziła kłapa pod stołem w jego kajucie, zamknięta na żelazną sztabę i na kłódkę), a było ich znacznie więcej, niż się spodziewał, znalazł się w drodze powrotnej u wejścia do zatoki, gdzie Bamtz mieszkał i gdzie mu się nawet względnie powodziło.

Tego dnia było już tak późno, że Davidson zaważał się, czyby tym razem nie ominąć zatoki. Nie chodziło mu o Bamtza, był to bowiem wykojejeniec, a nie człowiek prawdziwie nieszczęśliwy. Nad Anną Śmieszką litował się, ale nie więcej niż zasługiwała. Lecz dobroć jego była tak subtelna, że wyobraził sobie, jak ci ludzie, zależni od niego, liczą na jego przyjazd i, jeśli nie wstąpi do nich, jak tę zależność odczuwają, oczekując na niego przez cały miesiąc. Pod wpływem tego głęboko ludzkiego uczucia skierował przód swego statku ku wybrzeżu, zaledwie widocznemu we wzrastającym zmroku, przedostając się szczęśliwie poprzez splątany labirynt mielizn; lecz nim dopłynął do wejścia zatoki, noc już zapadła.

Puszczę przetrzymał wąski, ciemny pas wody, a że w kanale leżały zatopione pnie drzew, które trudno było dostrzec, Davidson ostrożnie obrócił „Sissie” i zostawił w kotłach tyle tylko pary, aby od czasu

do czasu można było „Sissie” trochę pchnąć naprzód. Posuwała się więc, unoszona tylko przez przypływ, cicha i niewidzialna w nieprzeniknionym mroku i głuchem milczeniu.

Przeprawa ta zajęła dużo czasu i kiedy wreszcie po dwóch godzinach Davidson przypuszczał, że dopłynął wreszcie do polany, osada i cała ta kraina puszczy i rzek zagrożona była we śnie.

Davidson, widząc samotne światło w ciemnej masie wybrzeża poznał, że świeci się w domu Bamtza. Było to niezwykle zjawisko o tej porze nocy, ale ułatwiało to kierowanie statkiem. Jednym obrotem rudła i lekkim ruchem helmątu dopłynął do przystani Bamtza; była to marna budowla, sklecona z kilkunastu pali i paru desek, lecz ex-włóczęga bardzo był z niej dumny. Kilku Kalaszów wyskoczyło na pomost; okręcili rzucone im sznury dookoła słupów i „Sissie” stanęła na kotwicy bez jednego głośnego słowa, bez najmniejszego szmeru, w samą porę, gdyż zaraz potem rozpoczął się odpływ.

Davidson przekąsił cokolwiek i, wyszedłszy na pokład, aby jeszcze raz wszystko obejrzeć. Zauważył, że w domu Bamtza świeci się jeszcze.

Było to rzeczą niezwykłą, Davidson jednak pomyślał, że skoro nie śpią można pójść im powiedzieć, że bardzo się śpieszy i prosi, aby mu z pierwszym braskiem dnia dostarczyli na statek cały ładunek ratanu.

Szedł ostrożnie po chwiejących się deskach, nie chcąc zwicznąć sobie nogi i powoli wyszukiwał sobie drogę po przez nierówny grunt, aż do pierwszych schodów domu. Była to zwykła chata na palach, nieogrodzona i samotna.

Davidson, jak wszyscy ludzie otyli, miał bardzo lekki chód. Wdrapał się po siedmiu czy ośmiu stopniach, przeszedł cicho po bambusowym pomoście, lecz zatrzymał go widok, który dojrzał przez otwarte drzwi.

Czterech mężczyzn siedziało przy świetle jedynej świecy. Na stole stała butelka, dzbanek i szklanki, lecz nie pili; leżały także dwie talje kart, lecz nie zabierali się do gry. Rozmawiali szeptem, nie zauważwszy go wcale, a on sam tak był zdumiony, że dłuższą chwilę nie mógł się odezwać. Wokoło panowała cisza, przerywana tylko świsz-

czącym szeptem ludzi, zgromadzonych wokoło stołu.

Jak to już wspomniałem, nie podobał się ten widok Davidson'owi; nie podobał mu się wcale.

Z ciemnej głębi pokoju scenę tę przerwał głośny okrzyk: „O Davyl jakże mnie przestraszyłeś!”

Davidson ujrzał wtedy za stołem bladą twarz Anny. Śmiech jej zabrzmiał histerycznie wśród ponurych ścian, wyłożonych matami.

Na pierwszy dźwięk tego głosu cztery pochylone ponad stołem głowy odskoczyły od siebie i cztery pary oczu utkwiły ciężkie spojrzenie w Davidson'ie. Kobieta wysunęła się naprzód; nie miała na sobie prawie nic więcej oprócz luźnej perkalowej sukni i słomianych pantofli na bosych nogach; głowę obwiązała na sposób męzki czerwona chustka, pozostawiając z tyłu, zwisające z pod niej rozpuszczone,

gęste włosy. Przez te dwa ostatnie lata opadły z niej jej jaskrawe, zawodowe piórka; zwiślał tylko jeszcze z jej szyi długi brylantowy naszyjnik, ostatnia jej ozdoba. Bamtz, na samym początku ich związku

podczas ucieczki z Sajgonu, wyprzedził całą jej ubogą biżuterję.

Postąpiła naprzód i, minawszy stół, ukazała się w świetle ze zwykłym sobie ruchem, wyciągniętych rąk, jak gdyby dusza biedaczki, niewidoma od dawna, szukała swej drogi omackiem. Blade jej policzki zapadły, a ciemne oczy wydały się Davidson'owi dzikie i nieprzytomne. Zbliżyła się szybko i, schwycwszy go za ramię, wciągnęła go do wnętrza.

— Pan Bóg cię zesłał tej nocy. Mój Tony jest taki chory, chodź go zobaczyć. Wejdziesz.

Davidson wszedł za nią. Żaden z mężczyzn nie poruszył się oprócz Bamtz'a, który zrobił ruch jakby się miał podnieść, lecz opadł z powrotem na krzesło. Davidson, przechodząc obok niego, usłyszał jak mruknął coś, co brzmiało podobnie do: „Biedny malec!” (c. d. n.)



W A N D A M I Ł A S Z E W S K A

23

ZATRZYMANY ZEGAR

(powieść)



Wiele mówimy o przeszłości; naturalnie, raz wraz wypływa na usta słowo: pamiętasz? I potem biegną wspomnienia! Każde drzewo, każdy kamień przy ścieżce związany jest z jakąś historją. Ot, ta wysoka topola przed gankiem: Adaś o mały karku przez nią nie skręcił. Zapowiedział, że wlezie na sam wierzchołek. Usiłowałam go odwieść od szalonego zamiaru, ale chłopak tem bardziej się uparł.

— Może myślisz, że nie potrafię, co? — zapytał tonem buńczuczym i natychmiast wziął się do dzieła. Zrazu szło wszystko doskonale. Chłopak, zwinny jak wiewiórka, wdrapał się już na znaczną wysokość, gdy nagle — gałąź trzasnęła złowrogo i nim zdołałam krzyknąć z przerażenia, Adaś już leżał na ziemi i śmiał się w najlepsze.

— No to co — mruknął, powstając — To się może każdemu zdarzyć. Ale wlażem prawie na sam wierzch.

— Mogłeś się zabić na śmierć! — zawołałam żałośnie i na tę myśl łązy trysnęły strumieniem.

— Naturalnie, becz teraz. Z babami to zawsze...

Pani Rymszyna długo nie mogła się uspokoić na samą wieść o wypadku. Tylko ciotka Eufemja wzruszyła ramionami.

— Dajcież mu spokój! Od tego chłopak, żeby laził po drzewach. Nigdy inaczej nie bywało. A że tam spadnie kiedy, et! Nic mu nie będzie! Zawsze na cztery łapy, jak kot...

Biedny Adaś. Nic mu nigdy nie było, istotnie. Spadał sobie z drzew, potem ze żrebaków, które bez wiedzy Janusza ujeżdżał o świcie na okólniku. Nie chorował nigdy. Uczył się średnio, ale jakoś z klasy do klasy przechodził. I dorósł wreszcie, po to, aby go na tej wojnie japońskiej zabili...

Pamiętam, byłam właśnie na wakacjach w Klimontowcach. Poprzedniego dnia przyjechał Zbigniew. Nikomu ani przez myśl nie przeszło wtedy, że Adaś może właśnie w tej chwili...

Około południa przyniesiono ów nieszczęsny telegram. Pani Józefa czytała go bardzo powoli, jakby nie mogąc pojąć treści tych kilku lakonicznych słów. Wreszcie rzuciła telegram i wstała, opierając się o stół rękoma. Stała tak długą chwilę pochylona, z oczami, wbitemi w pomięty skrawek papieru, a potem wyszła z pokoju

cicho, jak osoba, która nie zdaje sobie sprawy, co się wokoło niej dzieje.

Teraz dopiero powstało zamieszanie: Co? Jak? Kiedy? Ach, Boże, Boże!... Krzyżowały się zapytania, wykrzykniki, westchnienia. Właściwie wszyscy zrozumieli już, ale Zbigniew wziął do ręki telegram i przeczytał tych kilka słów, zawierających straszną wiadomość.

— Biedny Adaś! — krzyknęła Emilka i zanosła się płaczem.

— Biedna mama... — szepnęła Zbigniew. Nagle zwrócił się ku nam:

— Moje kochane... nie płaczcie tak głośno... Jeszcze ciocia usłyszycy.

Ciotka Eufemja! Wszyscy instynktownie zwrócili głowy w stronę drzwi. Janusz podszedł na palcach i zamknął je. Do obiadu brakowało już tylko pół godziny. Zaczęliśmy się naradzać, co teraz począć. Wprawdzie starszka oddawna sparaliżowana, zobojętniała na mnóstwo zjawisk życiowych, ale Adaś był zawsze jej ulubieńcem. Wprawdzie na wieść, iż go wzięli do wojska, spytała najspokojniej: Czyżby? A niech tylko uważa, bo to o wypadek nie trudno. Ale wobec tej śmierci...

— Ona tego nie przeżyje. Pomysłcie, ośmdziesiąt pięć lat. Ona

to życiem przypląci... — szeptała teraz Emilka, wycierając chusteczką zapłakane oczy.

— Może... może nie mówić babuni? — poddała Ela, ale ją ofuknięto:

— Dowie się z boku. Ktokolwiek wypaple i będzie jeszcze gorzej.

Po długich naradach postanowiliśmy jak najogólniej przygotować staruszkę. Właśnie dzwonek na podwórzu oznajmił porę obiadową. Wszyscy, prócz pani Rymszyny, zgromadzili się w jadalni. Balbina przywiozła swą panią na wózku i zatoczywszy go na zwykłe miejsce, siadła przy końcu stołu. Stara dama była niezwykle rozmowna i nastrojona łaskawie dla otoczenia:

— Cóż, Zbigniewie — zaczęła głosem cokolwiek podniesionym, właściwym osobie przygłuchej — pogoda zapowiada się ładna?

— Prawdopodobnie... — odparł szybko.

— He? — poruszyła się z niezadowolaniem — Jak powiadasz, bo nie dośłyszałam? Wszyscy lubicie mamrotać pod nosem...

— Ładna pogoda, ciociu! — krzyknęła Emilka, siedząca bliżej. Staruszka skinęła głową. Przez chwilę, mieszając supę, wodziła wzrokiem po otoczeniu.

— A gdzież to Józia? Józi nie widzę! — spytała nagle, dojrawszy puste nakrycie.

Zapanowało krótkie, niespokojne milczenie. Emilka schyliła głowę, a Ela, której usta drgały wciąż od powstrzymanego płaczu, nagle rzuciła serwetę i wybiegła z pokoju.

— A to co znowu za kaprysy? — zmarszczyła brwi staruszka, ale Zbigniew przerwał jej:

— Widzi ciocia... Otrzymaliśmy wiadomość... Mama nie zejdzie na obiad... Otrzymaliśmy bardzo smutną wiadomość. Chciałem właśnie przygotować cioteczkę...

— Tylko bez tych spieszczeń, proszę bardzo. Nie znoszę tego, wiesz dobrze!

— Ciociu! Adaś nie żyje! — wyrzuciła jednym tchem Emilka.

Zaległa cisza. Staruszka siedziała wciąż sżywno w swoim fotelu na kółkach, mieszając supę najspokojniej. Po chwili odłożyła łyżkę i tonem, w którym więcej było

zdziwienia, niż żalu, wypowiedziała jedno jedyne słowo:

— Czyżby?

Jedliśmy dalej w milczeniu, z uczuciem ulgi i zgrozy jednocześnie: że przyszło i że przeszło tak łatwo...

Nareszcie sorzątnięto ostatnie talerze. Ciotka Eufemja otarła usta serwetą i skinęła głową na znak, że możemy wstawać od stołu. Balbina przydreptała ku niej i jęła popychać wózek ku drzwiom.

— Zaczekaj... Chciałam cię o coś zapytać... Ot, stara głowa. Zupełnie z pamięci wypadło...

Potarła czoło ręką.

— Aha, już wiem. Prawdaż to, co mówiłaś, Balbiu, że kury w tym roku wcale się nie niosą, a indyczki niczem warjatkę?

— Szczęśliwa starość! — szepnął Janusz, podszedłszy do mnie — widocznie ciotce zupełnie „z pamięci wypadło“, że Adaś...

XXIX.

Wracając z poczty, spotkałam naszego proboszcza. Szedł rażnym krokiem, wymachując rękami, jak wiatrak. Ten człowiek zawsze się śpieszy. Jednakże, dostrzegłszy mnie, przystanął i począł wykrzykiwać na cały rynek:

— Hop hop! Panno Krystyno! Proszę tutaj na chwilę!

Podeszłam. Przywitawszy się serdecznie, — No no — rzekł do mnie — nareszcie pannę Krystynę spotykam. A to na plebanję ani zajrzy. Gdzie sie pani tak chowa?

— Ja, proboszczu? Ot, korzystam z wakacyj, z pięknej pogody. Cały dzień jestem poza domem.

— Wiem, wiem. Zachodziłem dwa razy, żeby się przecież upewnić, że pani żyje. Podobno teraz panna Krystyna ciągle w Klimontowcach przesiaduje...

— Istotnie...

— Niechno pani pójdzie ze mną kawaleczek, dobrze? Spieszę się na plebanję, bo mi dali znać, że rój wyleciał z ula. Z temi pszczołami to tak zawsze. Pilnuj, pilnuj, nie upilnujesz. Wyroiły się, szelmy i u sąsiada komin obsiadły. A złe to, niech Bóg broni... Przedwczoraj, to mię tak bestje skąsały...

Wyciągnął rękę rzeczywiście pokrytą znakami. Szliśmy przez chwi-

lę w milczeniu. Nagle proboszcz zagadnął:

— Pan Rymsza na długo w nasze strony zawitał?

— Nie wiem, proboszczu. Pewnie wkrótce wyjedzie.

— Aha... Bo ludzie mówią... A żona została w mieście, co?

— Tak, jego żona jest w Warszawie.

Proboszcz popatrzył na mnie z ukosa.

— Niech się pani nie gniewa, panno Krystyno, ale ja chciałem pani coś powiedzieć. Bo to ludzie gadają... Ot, ludzkie plotki... Zwykła rzecz... Podobno pani była kiedyś zaręczona z panem Rymszą. Czy to prawda?

— Prawda, proboszczu. Byłam z nim zaręczona. To dawne czasy.

— Tak? Aha... Naturalnie, tak. Bo to ludzie zaraz... Ot, powiem prosto z mostu: po co pani ciągle w tych Klimontowcach przesiaduje?... Zawsze to złe języki ludzkie...

Staaliśmy właśnie przed plebanją. Odparłam, siląc się na spokój:

— Czemu jeżdżę do Klimontowiec? Wychowałam się tam od dziecka. To mój rodzinny dom. Innego nie mam. Czy proboszcz doprawdy uważa, że źle czynię, widując się ze Zbigniewem, który był moim narzeczonym, a teraz jest moim przyjacielem. Jeżeli oczy ludzkie mogą dopatrzeć się złego w tem, że często bywam w Klimontowcach...

— Ale niech Bóg zachowa! — przerwał ksiądz z widocznym zakłopotaniem — Ja wcale nie chciałem zrobić pani najmniejszej uwagi... Ot, przyszło na myśl zapytać się... Bo to ludzie zaraz, że pan Rymsza żony nie przywiózł... Że niby sam w tych Klimontowcach... Et, powtarzać niewarto... Ja przecież panią znam nie od dziś i szanuję. Pani sobie tutaj zyskała wielkie uznanie i w szkole i poza szkołą. Niedawno jeszcze inspektor mówił mi, że pani jest najlepszą siłą w powiecie... No przecież się pani nie gniewa, panno Krystyno? Nie obraziłem pani?...

— To ja dziękuję proboszczowi za życzliwość. A „złe języki“ już wkrótce nie będą miały żeru. Pan Rymsza wyjedzie lada dzień.

(c. d. n.)



GRA MIŁOŚCI I ŚMIERCI

Romain Roland: *Le jeu de l'amour et de la mort.* Paris. Albin Michel editeur. 1925.

Nowa sztuka wielkiego pisarza jest, jak mówi sam w przedmowie, jednym ze skrzydeł poliptyku, malującego Rewolucję francuską, z którego znamy już 14 lipca, Wilki i Dantona. Potężne to dzieło, dzisiaj właśnie, „gdy Minotaury francuskie odrodziły w Rosji,” jest dziwnie aktualne i głęboko porusza duszę.

Tragiczna Gra, „w której każdy stawia wszystko, co ma, na stawkę,” rozgrywa się niejako na marginesie wielkich wydarzeń. W cichym domu mędrca, jednego z tych, którzy układali nieśmiertelne „Prawa Człowieka,” obija się o ściany echo straszliwej burzy. Marzec, r. 1794. Upadła już Żyronda, obalona przez „Góre,” a teraz Robespierre obala Dantona.

Kto śmie się opierać terrorowi, ginie. Podłość, jak wąż wypełza z dusz ludzkich. Wspaniałe opowiadanie Conrovisiera o tragicznym posiedzeniu konwentu odtwarza nam obraz, podobny do tych, które widzieliśmy na scenie w Dantonie.

Na ponurem tle dziejowem, rozgrywa się dramat trojga serc. Wieczysty trójką: stary mąż, młodsza od niego żona, piękny kochanek. Jeszcze nie kochanek... Zofja, jest wierną, cnotliwą i, na oko, szczęśliwą żoną; ma przydomek „Spokojnej czarodziejki.”

Aż nagle, na straszną wiadomość o śmierci garstki wywołańców, pożartych gdzieś przez wilki w tragicznej przed gilotyną ucieczce, wybucha jej ukryta namiętność: kochała ona jednego z tych nieszczęśliwów, ślicznego i męznego Klaudjusza La Vallée.

„Kochałam go i on mnie kochał. Był dla mnie całym życiem. I ja byłam dla niego wszystkiem. Ale to nieprawda, bo oto poświęcił mnie dla swojej nieszczęsnej idei... a ja, czyż nie poświęciłam go dla mojej?”

I przeklina ten straszny fanatyzm idei, dla którego zaprzepaszczają się i giną ludzie, zapominając o życiu, które powinno być „proste i słodkie,” przeklina swą wierność honorowi małżeńskiemu, cnotcie, bóstwom ślepych, którym poświęciła to, co najbardziej kochała. Zazdrości tym płochym towarzyszkom, które zapominają o grozie życia w objęciach kochanków... nie pozwoliła, aby Kludjusz został jej kochankiem. „A teraz on umarł—

woła — a teraz straciłam go! I dlatego to wszystko, po co?”

Nagle zjawia się ten, którego oplakiwała. Uratował się cudem. Ścigany, jak zwierzę dziki, półżywy, przedarł się do Paryża „w paszczę lwa,” aby raz jeszcze zobaczyć swoje bóstwo.*)

Namiętność tych dwojga wybuchła teraz jak płomień, już jej ukrywać nie mogą i nic nie zdoła jej zwyciężyć. Aż zwycięży ją w sercu Zofji uczucie jeszcze silniejsze: cześć dla nadludzkiej dobroci męża. W obliczu śmierci cichy filozof odnalazł sam siebie. Umrze, aby w epoce podłości i tyraństwa dać przykład „duszy wolnej.” Conrovisierowi, który namawia go do kompromisu, gdyż: należy umieć poświęcać teraźniejszość dla przyszłości, odpowie:

„Poświęcić przyszłości prawdę, miłość, wszystkie cnoty ludzkie i szacunek dla samego siebie, to znaczy poświęcić przyszłość samą.”

Ale przed śmiercią, poznawszy, że serce jego żony odwróciło się od niego, chce jej najwyższym dobrem za mimowolną zapłacić zdradę:

„Jeśli ty się nie mogła oprzeć temu uczuciu, to widać, że żadna kobieta nie była w stanie tego uczynić, bo znam Twoją prawość i znam słabość serca... — mówi z rezygnacją. — Winnaś tu nie ty, winno życie.”

Poświęcając sam siebie, ocali młodego Żyrondystę. Da mu swój paszport. Niech jadą oboje z Zofją; powierza jedno drugiemu. Ale wtedy dusza kobiety budzi się. Zwrócono jej swobodę. I wolna, wybiera. Zostanie przy mężu, zginie z nim razem. Tamtego wyprawi z macierzyńską tkliwością i pieczą w drogę, gdzie go czeka ocalenie. Szczęśliwa, że on żyć będzie, choć może z odrobiną subtelnego żalu, że on, ten młody, tak szybko, choć ze wstydem, zdecydował się uciekać od strasznej śmierci — sam jeden, łudząc się nadzieją, że jeszcze gdzieś, kiedyś, on i Zofja spotkać się z sobą muszą.

Przytaczam piękny koniec dramatu:

*) Conrovisier, to amalgamat dwóch historycznych postaci: Condorceta i Lavoisiera. Zofja podobną jest do małżonki Condorceta, również Zofji. Tragiczne przygody Kludjusza zaczerpnął autor z pamiętników Żyrondysty Louveta.

SCENA XII.

Hieronim de Conrovisier i Zofja zostają sami. Noc już zapadła. Hieronim patrzy jeszcze na drzwi, którymi wyszedł Kludjusz. Zofja przy oknie spogląda poprzez firanki.

HIERONIM, (dobrotliwie).

Zdaje się, że ten zacy chłopak bierze w rachubę krótkość moich dni.

(Zofja zbliża się do kominka i zapala świecznik).

Ale nie wziął w rachubę trwałości moich dni.

(Zwraca się do męża i wyciąga do niego ręce, które on ujmuje i patrzy na nią z czułością).

HIERONIM

Nie żałujesz niczego.

ZOFJA

Czy jesteś pewny, że nas zaaresztują dzisiaj?

HIERONIM

Niema sposobu tego uniknąć.

ZOFJA

W takim razie, dobrze jest. (Oboje siadają przy dogasającym ogniu kominka).

HIERONIM

Nasz ostatni wieczór.

ZOFJA

Lżej mi teraz. Nie trzeba już walczyć. Nie trzeba chcieć. Nie zostaje nic więcej, jak dać się unieść siłom, które za nas chcą, wielkiemu ciemnemu strumieniowi nocy.

(Hieronim przysunął się do niej i patrzy na nią z głębokim uczuciem. Ona opiera głowę na ramieniu męża, kolana ich i ręce złożone na kolanach dotykają się. Oboje marzą i uśmiechają się, patrząc w ogień. Cały ten dIALOG mówi się półgłosem).

ZOFJA (tkliwa i spokojna).

Mój dobry i drogi mężu, który chciałeś się poświęcić dla mnie z taką prostotą.

HIERONIM

Czyż to poświęcenie, pragnąć szczęścia istoty, którą się kocha

ZOFJA

Jestem teraz szczęśliwa.

HIERONIM

Chcesz mnie pocieszyć.

ZOFJA

(spokojnie i wolno, lecz z dreszczem utajonym w ostatnich słowach).

Nie, drogi mój, mówię prawdę. Pozostałam smutki moje na tamtym brzegu, który opuściliśmy.

Cóż za ulga patrzeć z głową na twem ramieniu, jak rozplývają się gdzieś w dali...

pozostań, nie ruszaj się. A to piekło ludzkie, ze swemi namiętnościami, szaleństwem i strachem.

HIERONIM

A nasz Vallée jeszcze się niem nie znużył.

ZOFJA

(Cicho, jak wprzód, z lekkim uśmiechem).

Biedny chłopak, jak mu spieszo było pograć się w niem znów... Czy sądzisz że on się ocali?

HIERONIM

Mam tę nadzieję,

ZOFJA

Co za szczęście. Ale obawiam się jego smutku, gdy dowie się o naszym losie,

HIERONIM

Życie przemoże jego smutek.

ZOFJA

I ja tak sędzę... Biedny Klaudjusz!

HIERONIM

Pamiętasz, Zofjo, nasze długie wieczory, spędzone tu, w tym pokoju? Siedzieliśmy oboje koło stołu, ty patrzyłaś jak pracuję, ja patrzyłem, jak ty marzysz: marzyliśmy oboje, gdyż wszystko: myśli, praca, nauka, miłość jest marzeniem i nawzajem jedno z drugim dzieliło się swojemi snami i nieraz w trudnem zawiązaniu myśli wspomagał mnie twój umysł niezmacony, dobra moja doradczyń.

ZOFJA

Pamiętam wszystko, i od pierwszego wieczora, gdym tu weszła, młoda żona w ten stary dom. Byliśmy dopiero poślubieni. A ty, taką już otoczony sławą, bałeś się mnie, bo byłam młoda, a ty już nim nie byłeś. Gdy byliśmy sami, zbliżyłeś się do mnie i rzekłeś mi z cicha: „przebac, że cię kocham“.

HIERONIM

Czyś mi przebaczyła?

ZOFJA

Serce moje było przejęte wdzięcznością, którą w ten wieczór, w ten ostatni wieczór, odnajduję znów w sobie. Wybacz mi dzisiaj ty, żem zapomniała o niej. *(Pochyliła czoło przed Hieronimem, który je całuje).*

HIERONIM

Ja także, Zofjo, zapomniałem, zapomniałem o obowiązku odwagi i szczeroci. Jakże słabym widziałas mnie wczoraj. A uczucie, żem cię stracił, wróciło mi siłę postanowienia.

ZOFJA

Zgubiliśmy się oboje w labiryncie udręczonego świata... Niechże błogosławiona będzie ostatnia godzina, która dała nam odnaleźć samych siebie i odnaleźć się wzajemnie.

HIERONIM

„Nunc dimittes“... Dobiliśmy...

Słuchaj, w pustej ulicy słysząc zbliżające się kroki.

ZOFJA

(W której budzi się ból i trwoga).

Ale nasze wielkie plany, nasze prace

rozpoczęte, nasze wielkie nadzieje nieziszczone, wszystko to, co kona wraz z nami...

HIERONIM

(Nadsluchując).

Idą po schodach...

ZOFJA

(Bolesnie).

Gdybyśmy choć zostawili po sobie dziecko, . Dłaczego, dlaczego życie było nam danem.

HIERONIM

(Z mocą)

Ażeby je zwyciężyć.

(Milczenie. Zofja wsparta na ramieniu Hieronima, patrzy i uśmiecha się, zrezygnowana. Już się nie rozłączają aż do końca, stojąc tak przy sobie. Zofja z głową opartą na ramieniu Hieronima, nie zważając nawet na odgłos otwierającej się bramy. Słychać zbliżające się głosy).

ZOFJA

(Z uśmiechem pełnym melancholji).

Zwyciężyć... Żegnaj, mój przyjacielu. „Święte już są wawrzyny“...

(Brutalne stukanie do drzwi).

HIERONIM

(Z wielką tkliwością).

„Duch piękna pójdzie je wziąć“.

ZOFJA

(Pokazując na stole gałąź bzu, która tam leży od początku).

Nie, podaj mi raczej tę młodą, wędnąca kiść kwiatów, tę gałąź bzu.

(Courvoisier, podaje jej kwitnącą gałąź. Ona ją całuje. Drzwi otwierają się. Wchodzi oddział ludzi uzbrojonych).

* * *

Tracąc życie wygrywamy je. Taki jest „sens moralny“ ostatniego utworu Romain Rollanda.

Karolina Bielańska.



Z DALEKICH LĄDÓW*)

Shczęście ma swoją atmosferę, jak róża ma swoją własną woń; można go nie widzieć, a czuje się je w powietrzu.

Rosa Nieves Hajota.

Dobrze jest czasem wziąć do ręki powieść, której głównym urokiem jest fabuła. Autor nie sili się na pogłębianie psychologiczne, nie kusi się o odkrywanie nowych światów w dziedzinie konstrukcji, nie zmusza czytelnika do rozwiązywania rebusów stylowych, ale po prostu, po staremu opowiada, co się zdarzyło, co się zdarzyć mogło, albo to, czego wogóle nigdy nie było, a opowiada mile, gładko, potoczycie, językiem codziennym, a jednak nie pospolitym, niepozbanionym tej wrodzonej wytwornoci, jaką daje wielopokoleniowa tradycja salonu.

Styl Hajoty jest jak dykcja artystów dawnych „Rozmaitości“. Nie zatacza się nigdzie, nigdzie nie staje, płynie równo, wolno, nieco monotonna, nie jak rwący potok, raczej jak miód, albo syrop. Czasem się od tego miodu robi za słodko, ale nie bądźmy zbyt wymagający.

„Mon verre est petit, mais je bois dans mon verre,“ możnaby powiedzieć o bezpretensjonalnej opowieści Hajoty. Kubeczek jest maleńki, ale z czystego szkła i napełniony niefałszowanym, lekko musującym napojem, którego autorka bynajmniej nie podaje za szampa, albo Asti spumanti.

Musimy pod tym względem wyjaśnić pewne nieporozumienia. Jeżeli czytamy z przyjemnością i tolerujemy rozmaite „Trujące czary,“ „Głosy z oddali,“ „Błękitnych chłopców“ i inne angielskie romansidła, nie w imię ich walorów artystycznych, ale po prostu — uderzmy się w piersi — z powodu ich interesującej fabuły, która swym naiwnym czarem „Księżniczki Baniałuki“ i nowoczesnej Szeherazydy odrywa nas na chwilę od rzeczywistości, pozwala nie myśleć, nie kombinować, nie zastanawiać się, niczego nie zgłębiać, nie zmydrzać, ale po dziecinnemu i po głupiemu marzyć, — to dlaczego mamy przejść obok swojskiego wyrobu, który wywiązuje się z tego samego zadania z równem powodzeniem, bez szalbierstwa, bez mydlenia oczu, bez

*) Hajota-Rosa Nieves — z cyklu „Z Dalekich Lądów“ — opowieść. Lublin, nakł. księgarni Kazimierza Kotlarskiego.

koturnu i pozy, ale też bez fałszywego wstydu.

Najmądrzejsi, najuczciwsi, najbardziej umysłowo przepracowani ludzie chodzą do kina. Nie po to, żeby jak rozromansowane sztubaki lub zgłodniałe wrażeń histeryczki na emeryturze „wyżywać się” w surogacie namiętności, ale po prostu, żeby dla higieny duchowej zmienić klimat, odetchnąć lekkim powietrzem wyobraźni po wielu skondensowanych atmosferach naprężonego intelektu.

Opowieść Hajoty nie jest właśnie niczym innym, jak takim filmem, i to filmem w guście amerykańskim, w miarę skandalicznym, w miarę wzruszającym, w miarę sentymentalnym, a nadewszystko egzotycznym.

Rzecz prosta, dzisiaj, gdy każda pensjonarka pochłania tomy Jacka Londona, gdyśmy z lekkim opóźnieniem odkryli nareszcie „naszego” Conrada, kiedy mamy źródłowe dzieło Grąbczewskiego o Kaszgarji, kiedy cały świat naukowy krzyżuje szpady nad rozstrzygnięciem zapytania, co w opowieściach Ossendowskiego jest prawdą, co fantastycznym zmyśleniem, — rzetelna, niepodrabiana afrykańskość Hajoty, wydaje się drobną kropelką wobec tych fal egzotyzy, zalewających dziś naszą literaturę.

Z drugiej jednak strony dziś, gdy lada chłystek literacki myśli, że zdobył rycerskie ostrogi, nagryzmoliwszy stek bredni o „ciepłych krajach,” które zna tylko z pocztówek i z „magazynów” angielskich, gdy roi się od szarlatanów, co śladem starego, zapomnianego Triplina piszą wspomnienia z podróży po krajach, których, jako żywo, stopa ich nie dotknęła, gdy są wreszcie tacy, którym wiele będzie przebaczone w pamięci potomnych za to, że w stroju adamowym uciekali przed krokodylem, albo rywalizowali w krzykliwości z papugami brazylijskimi, — skromny, uczciwy, na autentycznych przeżyciach i niewątpliwych spostrzeżeniach oparty egzotyzy Hajoty ujmuje swoją prostotą, zupełnym brakiem snobizmu, pozy, efekciarstwa.

Nie kusi się ona na folklor, nie kusi o wcielenie w duszę murzyńską, nie myśli bynajmniej o spoglądaniu na świat białych oczami czarnego dzikusa, co byłoby zresztą z jej strony próbą psychologicznego falsyfikatu — pozostaje zawsze sobą, — kulturalną kobietą strefy umiarkowanej, która nie może pozostać obojętną na dziwy i czary podzwrotnikowego ładu, ulega jego zmysłowemu urokowi, a na jego mieszkańców patrzy nietylko, jak na ciekawe zjawiska przez za-

ostrzające ich kontury szkła intelektu, ale przez pryzmat współczującego serca polskiej kobiety, która w każdej istocie skrzywdzonej, bez względu na jej rasę, pochodzenie, przynależność narodowościową, klasę społeczną, stopień kultury, — widzi przedewszystkiem człowieka — brata swego w krzywdzie i bólu.

I dlatego tragiczną historję Rosy Nieves, pociągniętej na dno nędzy i hańby przez fatalną piękność ciała i bezduszość lalki, ratuje od zarzutu banalności to ciepłe ujęcie dłoni kobiecej, w którym zamyka się jej dusza. Nie żądamy zbyt wiele, a przedewszystkiem pozwólmy kobiecie pozostać kobietą, bez względu na rodzaj i skalę jej talentu. Nie każdy, a w szczególności nie każda może i chce być Londonem lub Conradem. W wielkim gmachu literatury zmieści się i potężny fresk i makatka haftowana według starych wzorów, nigdy nie blaknącemi nitkami serca.

Stefanja Podhorska-Okolów.

KOBIETA W ŚWIECIE I W DOMU.



BOHATERSKA OFIARNOŚĆ.

Pisma angielskie donoszą o udzieleniu przez premiera angielskiego zaszczytnej odznaki honorowej pielęgniarki szpitalnej, pannie Wallace Tible, która odznaczyła się bohaterstwem i poświęceniem przy wykonywaniu swego zawodu. Niezwykła jej ofiarność zaznaczyła się zwłaszcza w wypadkach, w których zachodziła potrzeba dokonania tak zwanej transfuzji krwi, aby uratować chorego, umierającego z wycieńczenia. Panna Wallace poddała się 76 razy tej operacji, ofiarując swą krew pielęgowanym przez siebie chorym i w ten sposób uratowała życie 76 ludzi!

Wzruszające są dzieje życia tej niezwyklej w swem bohaterskim poświęceniu młodej dziewczyny. Pochodząc z rodziny zamożnej, wychowana w zbytkach i dostatku, pędziła ona z początku żywot przeciętnej, wesołej, lekkomyślniej panienki „z dobrego domu”. Ulubionem jej zajęciem — jak i większości młodych Angielek — były sporty, a upodobanie to podzielał jej narzeczony, z którym łączyły ją od

dziecka stosunki najszczerzej przyjaźni.

Słowem, życie młodej dziewczyny układało się w sposób jak najpomyślniejszy i zdawało się, że i dalsze jej losy tymże pójdą torem; tymczasem nagły cios — jak piorun z pogodnego nieba — zniszczył wszystkie nadzieje szczęścia i stał się powodem zupełnej zmiany w jej życiu.

Ciosem tym była śmierć narzeczonego, która nastąpiła wśród specjalnie tragicznych okoliczności. Młoda para narzeczonych wybrała się na wycieczkę samochodami. W czasie gdy przejeżdżali przez las, wybuchła nagle gwałtowna burza. Szofer, oślepiiony nagłą błyskawicą, skierował nieostrożnie samochód na zakręcie drogi i auto z rozmachem uderzyło o pień olbrzymiego dębu. Narzeczony panny Tible wypadł tak nieszczęśliwie, że rozbił sobie głowę o kamień przydrożny i poniósł śmierć na miejscu, ona zaś sama nie odniosła najmniejszego uszkodzenia.

Straszny ten wypadek podziałał na młodą dziewczynę w sposób tak wstrząsający, że zmieniła ona odtąd zupełnie tryb życia, wyrzekła się wszelkich rozrywek i zabaw, a po pewnym czasie pomimo oporu rodziców, zapisała się na kurs pielęgniarek szpitalnych i poświęciła się całkowicie pielęgowaniu chorych.

MAŁŻEŃSTWA POMIĘDZY DZIEĆMI.

Gdy się mówi o małżeństwach pomiędzy dziećmi, ma się prawie zawsze na myśli kraje wschodnie, jak Indje, Egipt etc. Mało stosunkowo osób wie o tem, że tego rodzaju małżeństwa są prawnie dozwolone w kraju, który rości sobie pretensję do cywilizacji, europejskiej! Mam tu na myśli, oczywiście Stany Zjednoczone Ameryki Północnej.

Otóż w piętnastu Stanach amerykańskich — między innymi i w Nowym Jorku — minimalny wiek małżeństwa jest określony prawnie: dla chłopców na lat 14, dla dziewcząt zaś — na lat 12!

Sprawozdanie jednej z instytucji społecznych, mających na celu badanie przyczyn epidemji rozwodów w Ameryce, wykazuje, że na obszarze St. Zjednoczonych zamieszkuje 667.000 osób, które wstąpiły w związki małżeńskie w wieku pomiędzy 12 a 15 rokiem życia!

Prawodawstwo amerykańskie wykazuje pod tym względem wprost zdumiewające anomalje. Oto np. w tych samych Stanach, w których

pastor ma prawo udzielić ślubu dziewczynce dwunastoletniej, (notabene, bez wymagania pozwolenia rodziców) — dziewczynka w tym samym wieku nie może być przyjęta do fabryki, ani żadnego przedsiębiorstwa, nie może samodzielnie zarobkować!

Dla otrzymania zezwolenia na małżeństwo potrzeba w Ameryce znacznie mniej formalności, niż na otrzymanie prawa wyjazdu zagranicę albo też pozwolenie otwarcia własnego przedsiębiorstwa handlowego.

Na ukończenie tego sprawozdania podany jest projekt wprowadzenia przynajmniej niektórych poprawek do prawodawstwa stanowego, mianowicie: 1) aby najniższy wiek do zawierania małżeństwa był oznaczony dla dziewcząt na lat 16-cie, dla chłopców — na lat 18; aby ślub nie mógł nastąpić wcześniej niż w pięć dni po zgłoszeniu się małoletnich o pozwolenie na zawarcie małżeństwa; 3) aby, dla uzyskania pozwolenia, narzeczeni musieli obowiązkowo przedstawić metrykę urodzenia lub chrztu, względnie jaki inny dokument, pozwalający ściśle ustalić ich wiek; 4) wreszcie, aby zawarcie małżeństwa mogło nastąpić dopiero po ukończeniu szkoły elementarnej (w Ameryce, jak wiadomo istnieje przymus szkolny).

Widzimy zatem, że to, co w naszym kraju uważane jest oddawna za naturalne, rozsądne i konieczne dla normalnego rozwoju rodziny, w Ameryce jest dopiero dezyderatem, dla urzeczywistnienia którego czynniki społeczne będą jeszcze musiały przeprowadzić wiele walk i dyskusyj.

FRANCUZKI SKAZANE NA STAROPANIENSTWO.

Jak wykazują statystyki urzędowe, na obszarze Francji znajduje się o dwa miliony kobiet więcej, niż mężczyzn. Jeśliby zatem nawet każdy bez wyjątku Francuz, rezygnując ze stanu kawalerskiego, pojął sobie żonkę, to pozostałoby jeszcze dwa miliony Francuzek, skazanych na staropanieństwo.

Jestto fakt bardzo niepokojący, i nie przyczyniający się bynajmniej do zażegnania niebezpieczeństwa wyludnienia, grożącego Francji już oddawna. To też społeczeństwo francuskie żywo zajmuje się tym

faktem, a w prasie ukazują się często artykuły w tej kwestji. Ostatnio jeden z większych dzienników paryskich przeprowadził na ten temat ankietę, w której wypowiedziało się wiele znanych osobistości ze świata literackiego i artystycznego.

Nie brakło głosów, doradzających wprowadzenie dwużeństwa; większość jednak z pośród biorących udział w ankiecie, zastanawiała się nad zagadnieniem: Czy — wobec niemożności znalezienia męża we własnym kraju Francuzki powinny wychodzić za cudzoziemców?

Na pytanie to słynny dramaturg, Henri Kistemaekers, odpowiada przecząco: „Nigdy takie małżeństwa nie mogą być szczęśliwe. Widziałem już w swem życiu wiele przykładów takich mieszanych małżeństw i — wolę o nich nie pisać“. Tegoż samego zdania jest znana literatka, pani Aurel. Pisze ona: „Nie może być szczęścia w domu, w którym każde z małżonków kocha inną ojczyznę“.

Inna natomiast znana literatka Rachilde, twierdzi, że „kobieta — o ile jest prawdziwą kobietą, w całym znaczeniu tego słowa — nie może i nie powinna zachowywać swej narodowości, jeśli pokocha cudzoziemca“.

Artystka sceniczna, pani Cécile Forel, daje odpowiedź wymijającą, podkreślając tylko olbrzymie znaczenie małżeństwa i rodziny jako podpór moralnych społeczeństwa.

Sylvain uważa miłość za jedyne święte prawo, wobec którego ustępują wszystkie inne względy. Miłość jest wyższa ponad wszystko: narodowość, rasę, wyznanie. Jedyńm zaś celem miłości jest dziecko — i dla tego celu podporządkowuje się wszystko“.

Oryginalną odpowiedź nadesłał znany artysta - komik *Dranemo*. Oświadcza on z całą powagą, że jeszcze się nie namyślił dostatecznie nad tą kwestją, wymaga ona bowiem dużo czasu i rozważań. Poza to jako zwolennik metody empirycznej, może on wypowiedzieć swoje zdanie tylko o rzeczach znanych mu z doświadczenia. Ponieważ zaś miał dotychczas tylko dwie żony — jedną cudzoziemkę i jedną Francuzkę — będzie mógł dopiero po trzecim ożenieniu się wywnioskować, jakiego rodzaju małżeństwa są szczęśliwsze!

Z. B.

Z TEATRÓW



TEATR IM. W. BOGUSŁAWSKIEGO

„Jak się wam podoba.“ — Komedja Szekspira. Przekład Ulrycha. Muzyka Rogowskiego. Reżyserja L. S. Schillera i A. Zelwerowicza. Dekoracje Drabika.

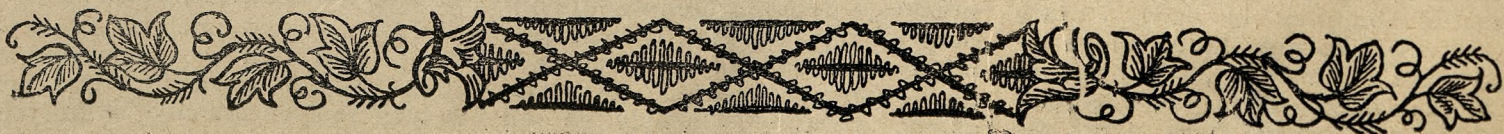
Teatr im. Bogusławskiego szerokim gestem otworzył swe podwoje, wystawiając komedję Szekspira „Jak się wam podoba.“ Mamy jeszcze świeżo w pamięci graną na deskach tego teatru w roku ubiegłym przepiękną, szekspirowską „Opowieść zimową.“ Reżyserja poszła tym razem po linii prac zeszłorocznych — i to tak wiernie, że aż nasuwały się obawy, czy nie grozi to pewną manjerą w L. S. Schillerowskim pojmowaniu Szekspira. Szczególnie rozwlekanie pewnych scen i zwalnianie tempa, aż do zupełnej prawie senności, sprawiało, że widz odnosił wrażenie nie gry aktorskiej, ale celebrowania uroczystego nabożeństwa. A przecież jest to komedja, typowa, szekspirowska komedja, w której po to się mówi o rzeczach smutnych wielce przy podniesieniu kurtyny, by tem mocniej śmiać się przy szczęśliwych zaślubinach trzech par na końcu sztuki. Poza to oprawiono Szekspira w tak bogate ramy muzyczne, że budziło to chęć przeniesienia zresztą pięknej muzyki p. Rogowskiego na wieczór koncertowy, a w każdym razie okrojenia jej na tej komedji szekspirowskiej przynajmniej do połowy.

Natomiast jedną rzeczą nie można się było dość nacieszyć i dość napatrzeć — to dekoracjom i kostjumom Drabika.

Oto byliśmy w krainie bajki — oto radowały się oczy pięknocią barw i linii — oto śmiały się ku nam światła i wabiły ku sobie smugi jakichś najcudniejszych, wyśpiewanych cieni. Na tle tych dekoracyj — jak barwne plamy, poruszali się aktorzy, związani w jakąś doskonałą całość obrazu.

Teatr im. Bogusławskiego zdobył zresztą poważny zespół aktorski i ma dwóch świetnych reżyserów: Schillera i Zelwerowicza. To też Warszawa oczekuje wielkich rzeczy od tego zespołu artystów.

a.





ELEGANCKIE PODWIĄZKI

Przy odrobinie zręczności można tanim kosztem, z resztek wstążeczki zrobić śliczne i eleganckie podwiązki (rys. 1).

Na każdą z nich potrzeba tylko metr wstążeczki, szerokiej na 2 centymetry i 35 cm. gumy.

Wstążeczkę, długości 50 cm., położoną jedną na drugiej, przy czym wierzchnia może być inna jak spodnia, zeszywa się drobnym ściąganiem przy brzegach, po zeszytciu wciąga się w nią gumę (rys. 2). Gumę zeszywa się tak, aby tworzyła koło i niewidocznie łączy



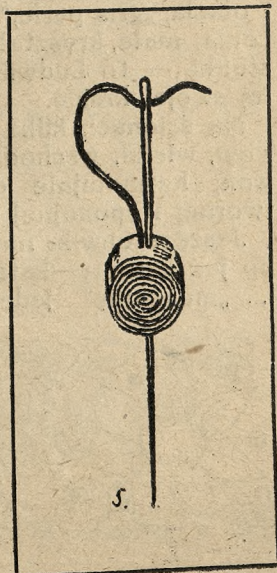
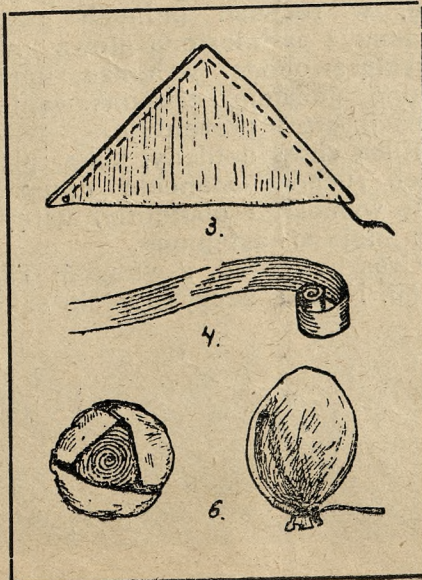
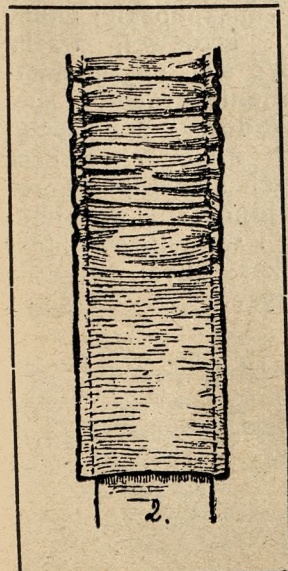
robi w następujący sposób: wążeczkę skręca się w koło (rys. 4), a gdy się otrzyma koło, przesywa się je jednym ściąganiem (rys. 5). Służy ono jako środek kwiatka, którego płateczki są zrobione z jedwabiu lub gazy.

Na każdy płateczek bierze się

kwadracik materiału, 3 do 5 centymetrów długości, składa go się nasukos i marszczy z dwóch stron (rys. 3). Trzema płateczkami otacza się środek, ukrecony z wstążeczki (rys. 6) przyszywając je od

się ze sobą dwa brzegi wstążeczki. Miejsce zeszywania przybiera się z ręcznie kokardą ze wstążki lub kwiatkami z jedwabiu, które się

spodu. Z takich samych kwadracików zielonego jedwabiu marszczy się listki (rys. 6) i otoczywszy nimi kwiatek, przyszywa się je do podwiązki.



LIST Z PARYŻA

Paryż, 25 sierpnia 1925 r.

Jedną z większych atrakcyj w zyciu paryskim przed otwarciem zimowego sezonu, jest niewątpliwie pierwszy pokaz najświeższych kreacyj (od 1-go do 15-go sierpnia) w znanych salonach mód.

Naturalnie, że tylko wybrani mają prawo korzystać z tej niezwykłej okazji, to znaczy prasa, komisjonerzy i nabywcy z Ameryki.

Szeroka publiczność dopiero w końcu września może podziwiać te zakulisowe cuda. To też nie wątpię ani na chwilę, że sprawozdanie z jednego takiego pokazu, zajmie uwagę Szanownych Czytelniczek.

Pola Elizejskie, 3-cia po południu...

Salon mód.

Na wszystkich twarzach maluje się wyraźne zaciekawienie, bo za chwilę zacznie się demonstracja tego, co powoli objawiać się zacznie w ciągu nadchodzącego sezonu i siłą swoją narzuci się, jako bezwzględne prawo, całemu światu.

Wszędzie pełno; miejsca wszystkie z góry zarezerwowane. „Vandeuze'y” zajęte wyłącznie zaproszonymi przez nie klientami. Bo to dzień niezwykły. Od niego bowiem zależą poważne obstalunki z Ameryki; od niego przychylne lub nieprzychylne stanowisko prasy.

Właściciel salonu ze znajomością rzeczy odpowiada zadaniu: wszędzie obecny, kłania się na wszystkie strony; zbliża się tu i owdzie, ściskając ręce zainteresowanym krytykom. Pani domu w toalecie bez zarzutu przyjmuje w zupełności z uroczystością. Reminiscencji tu pełno z czasów Ludwika XVI-go. Wysokie, owalne okna z prostemi storami, ściany i obicia „gris perle,” wyblakłe złocenia, małe, kryształowe żyrandole, stoliki, — to Ludwik XVI. ty w całej swojej krasie.

Na ścianach kilka dobrych płócien, wielki, wschodni, kawowy dywan, harmonijnie dopełniają wytwornej i spokojnej całości.

Jeszcze chwila natężonej uwagi, bo już karnety—katalogi w ruchu i... „manekiny” jeden po drugim



zaczynają się przesuwac przed oczami widzów.

„Un mannequin!” — tylko rasowa paryżanka nadaje się do tej wdzięcznej, a zarazem trudnej roli. Dziewczęta wysmukłe, giętkie i szczupłe, w ruchach pełnych gracji, z dumnie podniesioną głową i niezwykłą swobodą, wchodzi, uprzedzone głośnie zaanonsowaniem kreacji, którą prezentują.

Kilka chwil defilady, kilka pięknych ruchów manekin opuszcza salę wyniosłe i obojętnie, ustępując miejsca następnym.

Czas korzystać z wrażeń; czas nagli. Notatki zaczynają się same.

Biore szkice... W następnych korespondencjach będę sobie uważała za miły obowiązek podać dokładny opis z rysunkami kilku ciekawych modeli. Dziś ograniczę się do zdania sprawy o nadchodzącej modzie w ogólnych zarysach.

Suknia jest w dalszym ciągu krótka, może nawet krótsza niż dotąd, — natomiast z tyłu stan dłuższy niż z przodu. Wszelkie fantazje zastosowane do sukni w rodzaju kloszy, wstaw inkrustacji i t. p. w celu rozszerzenia objętości sukni z przodu tylko; dziś stosuje się do całego obwodu. Ramiona szerokie: tył sukni na plecach często fantazyjny. Rękawy długie, bogate i wszędzie prawie okrągłe, małe kołnierzyki u szyi. Koronki i futra ogromnie na czasie. Mniej haftów. Kolory: granatowy, niebieski, szarozielony, ceglasty. Płaszczki z imponującymi kołnierzami, a nadewszystko klosze, klosze, klosze...

Tyle o samej modzie.

A ponieważ dzisiaj wprowadziłam już moje Czytelniczki do tak ciekawej instytucji, jak paryski salon mód, pozwolę sobie dodać jeszcze słów kilka o manekinach, które stanowią na paryskim gruncie odrębne i tłumne grono pracownic, z których każda na swój sposób, anonimowo, przyczynia się do sławy i rozgłosu mody paryskiej.

Żeby podołać zadaniu manekina, niedość być tylko piękną i harmonijną w całej budowie; trzeba być poniekąd artystką: posiadać bardzo wyrobiony smak estetyczny, żeby osiągnąć doskonałość plastyczną ruchu, nie wpadając nigdy w wulgarność — trzeba umieć połączyć giętkość hiszpańskiej gitany z majestatem królowej; trzeba wreszcie zdobyć się na umiejętność przedstawienia kreacji w sposób czysto zawodowy, żeby przybyli ze wszech stron specjaliści, wrócili do swych siedzib, oczarowani, zasugestjonowani wyrafinowanym gustem i wykwintem, który po wszystkie czasy był wyłączną własnością Paryża.

Sekwa.



MODA NA SCENIE

Pani Felicja Walewska roztaacza w „Kinematografie Życia“ na scenie teatru Letniego taki przepych toalet, że wątpię, by jej paryska współzawodniczka mogła ją zaćmicić. Zachwyca toaleta z pierwszego aktu, utrzymana w tonach pastelowych. Góra sukni gładka i niemal obcisła z georgette'y w prześlicznym, jasnym odcieniu lilas-rose, dół tworzy trzy sute falbany z przepięknej koronki, ufarbowanej na kolor sukni. Farbowane koronki są obecnie w Paryżu bardzo modne, jest to zbytek, na który niestety nie każdy może sobie pozwolić. Długi rękaw, u góry zmarszczony w kiści. Jest to jeden z nowych typów rękawów, jakie będziemy nosiły tej zimy. Malowniczej i stylowej całości dopełnia duża pasterka z żółtej słomy, przybrana lila georgettą i rozrzuconymi fantazyjnie girlandkami kwiatów.

Omam nie zapomniałam o parasolce: jest to istne cacko o grubej, krótkiej, rzeźbionej rączce, parasolkę tworzą zygzakowato ułożone falbany z lila georgette'y. Przy rączce parasolki uwiązana wdzięcznie, marszczona torebka z georgette'y zawierająca puder, perfumy, pomadkę do ust i inne drobiazgi, bez których nie rusza się z domu wytworna paryżanka.

Peniuar w drugim akcie olśniewa wprost swoim przepychem. Jest on z przepysznej, złotej koronki, obciążony na końcu piękną, ak-

mitną różą. Taka sama róża zdobi przód peniuaru, otwierający się na długiej kamizelce z karbowanej, cielistej georgette'y. Brylantowa brzoza, trzy wielkie sznury pereł, wszystko dostępne chyba rzeczywiście dla książęcej przyjaciółki. Książę musiałby przytem być koniecznie miliardem, a to w dzisiejszych czasach rzadko chodzi w parze. Ostatni raz widzimy panią Walewską w płaszczu z oliwkowej felpy, bramowanym szeroko ciemnymi, puszystymi nurkami. Na głowie maleńki kapelusik z oliwkowej felpy, przybranej rozfryzowaniem strusim piórem, koloru kapelusza. Gładka suknia, z plisowanymi fruwakami z oliwkowego jak płaszcz crépe de chine'u, którym płaszcz jest również podbity. Całość utrzymana w jednym kolorze, jak tego wymagają kosztowne kanony bezwzględnej Pani Mody.

„Panna Służąca“ w teatrze Małym służy artystkom za pretekst do przebierania się. Pani Modrzewska z wesołej córki Cytery, przebiera się za fertyczną subretkę, jakby żywcem wyciętą z „La Vie Parisienne“. Porzuca peniuar ze srebrnej koronki na cytrynowem tle i przywdziewa czarną, jedwabną sukienkę z karbowanym przodem. Klasyczny biały fartuszek i zgrabna kokarda motyl zamiast czepeczka. Trzycentymetrowy pasek białego materjału okala ciasno ostrzyżoną główkę, gdzieniegdzie kry-

jąc się w lokach. Z przodu sztywno nakrochmalony motyl, przymarzczony w środku do opaski z końcami, ściętymi ukośnie. Panny Klimontowiczówny przebiera pani Modrzewska z staroświeckiej kurki domestiki na elegancką paryżankę.

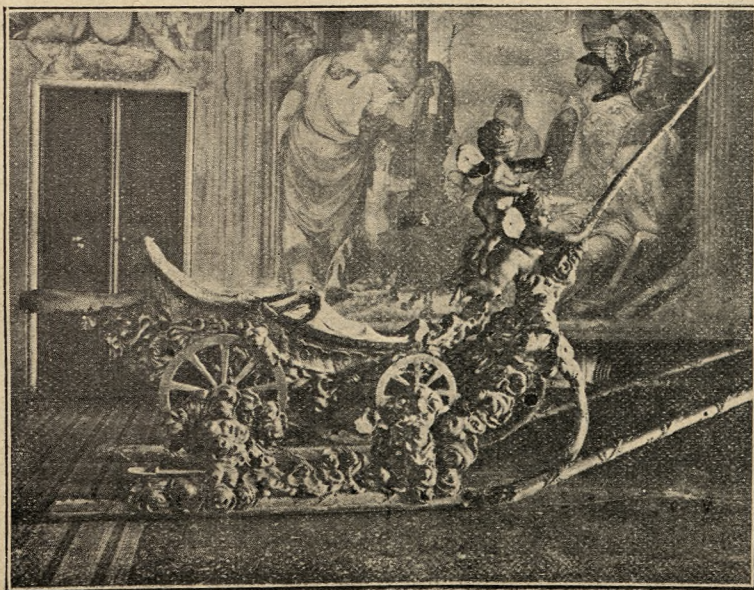
W tej nowej fazie widzimy tę prześliczną artystkę w sukience z białej georgette'y koralowej, za haftowanej biało. Ażurowe, ponsowe pantofelki do jasnych pończoszek.

Pani Sulimie nie udało się pierwsza suknia z ninon drukowanego w zielony rzucik, zwłaszcza wielki zielony kapelusz w bardzo przykrym, jaskrawym tonie robi niekorzystne wrażenie. Za to na scenę uwodzenia przebiera się pani Sulima w toaletę — kłękajcie narody! Suknia ze słomkowej georgetty, inkrustowana trójkątami z gipiury, ufarbowanej na kolor sukni, lekko skloszowana w dole. Kapelusz ze słomkowego jedwabiu duży, fantazyjnie powyginany, przybrany szeroką szafirową aksamitką, której długi koniec przechodzi pod brodę i przerzuca się przez ramiona na plecy. Trudno o całość bardziej malowniczą i zarazem bardziej „lady like“.

Pani Sulima w tej toalecie jest żywym dowodem, że kobieta współczesna i modnie ubrana może zarazem przypominać najwspanialsze portrety Gainsborough'a. W. Z

SPRZĘT—DZIEŁO SZTUKI

ANDREA BRUSTOLON



Wśród złocistej atmosfery arcydzieł muzealnych wychylają się ku nam, strząsając z siebie całun zapomnienia sprzęty Brustolon'a, dając nam zmniejszoną, lecz charakterystyczną skalę sztuki barokowej w epoce jej rozkwitu.

Andrea Brustolon (1680 — 1732) zajaśniał w epoce, w której wyrafinowane piękno rozkwitłego renesansu ustępuje miejsca barokowej wybujałości, przemawiając do nas oszałamiającem bogactwem dekoracji.

Brustolon z rodzinnego miasta udał się na studia do Rzymu i postanowił poświęcić się wyłącznie snycerstwu, które już przedtem z zamiłowaniem uprawiał. O młodości artysty żadnych nie mamy wiadomości.

Głównym jego tytułem do sławy było ozdobne stolarstwo i, w dziedzinie tej wywiązując się mistrzowsko z danych mu poleceń, osiągnął szczytu pomysłowości i dowolności.

Zab czasu, wywarłszy swój niszczący wpływ

na pałacach włoskich, dotknął w równej mierze i sprzęty domowe i z tej przyczyny wiele okazów sztuki Brustolon'a już nie istnieje.

Pozostała ilość zabytków, która ocalała od zagłady, świadczy wymownie o potężnym talencie artysty, jak i o wybujałości ówczesnej epoki, upajającej pełnią jaskrawych barw i przepychem otoczenia dekoracyjnego.

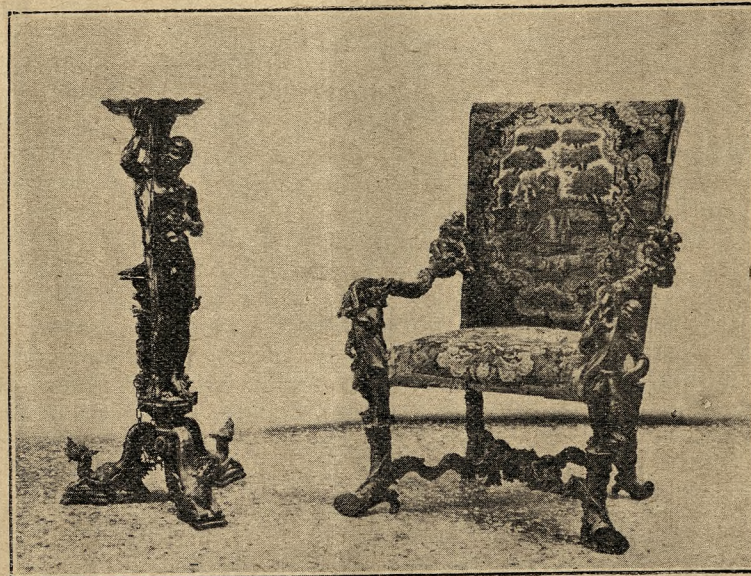
Sprzęty, tonące w powodzi ozdób, stanowią jakby pretekst do wykazania stanu własnej duszy, spragnionej uplastycznienia.

W tym burzliwym zespole linji i ozdób wyobraźnia twórcza, stwarzająca swój odrębny świat piękna, znalazła sposób wypowiedzenia się w zdumiewającej obfitości pomysłów.

Ileż tu fantazji w tworzeniu potwornych zwierząt, ptaków, całego szeregu dziwacznych figur, w pełnym ruchu.

Odczuwamy oszałamiające tętno ówczesnego życia, tryskające z każdej linji, która, zda się, wyszła z tajemnej głębi artysty.

Wśród dziwów roślinnego i zwierzęcego świata, wplata się w ozdobność postać ludzka, w której widzimy starannie o doskonałe wyobrażenie form pod względem anatomiczno-plastycz-



nym. Przepysznie wyczułe w kształcie linji ciała tchną silnym realizmem, którego źródła szukać należy w uprawianych wówczas studjach nad naturą.

Dla Brustolon'a odtworzenie nagiej postaci jest najwyższym szczytem sztuki.

Rozmiłowany w anatomicznej piękności ciała ludzkiego, okazał się mistrzem w traktowaniu nagich postaci, mających znaczenie ornamentacyjne.

Uderzają pomiędzy nimi wyraziste postacie murzynów, z których każda ma swój własny charakter, swą odmienną cechę.

Uderza nas w pracach Brustolona nie tylko wielkie bogactwo form, niezwykle przepych linji, lubowanie się w skomplikowanych rozmieszczeniach światła i cieni, ale przede wszystkim wzbudza w nas podziw doskonała harmonja całości przy tak niezwyklej różnorodności szczegółów.

To jednak, co jest najbardziej istotną cechą jego sprzętów, da się określić jednym tylko słowem: przepych.

Załączone ryciny świadczą wymownie różnorodnością swych kształtów, o wysokim uzdolnieniu twórczym artysty, umiającym zjednoczyć pożytek praktyczny z wyczuwaniem piękna form.

POPIÓŁ

W życiu praktycznym, popiół ma szerokie zastosowanie i jest przedmiotem pierwszorzędного pożytku.

Dlatego też nie należy go wyrzucać i marnować, jak się to często, zwłaszcza na wsiach dzieje.

Jednym z najlepszych sposobów przechowania wędlin, szynki i jaj jest układanie ich w skrzyniach i baryłkach w warstwy, przesypane popiołem, bacząc, by wszystkie próżne miejsca były nim szczelnie wypełnione. Tak zabezpieczone wędliny nie pleśnieją, nie wysychają i wolne

są od robactwa, a skrzynie z niemi ustawia się w miejscu chłodnym, przewiewnym, koniecznie suchym. Wyjmując wędliny do użytku, trzeba oczyścić je miotką i starannie obmyć. Ług, tak zwany gryzący, otrzymamy z wygotowania przez pół godziny: 2 kg. popiołu drzewnego i ½ kg. świeżego niegaszonego, grubo potłuczonego wapna. Zalewa się to wodą, a po ugotowaniu precedza.

Popiół drzewny wreszcie najlepszym jest środkiem domowym do prania bielizny. Wygotowana w lu-

gu z tego popiołu jest najczystsza i najbielsza, a środek ten, jako zupełnie nieszkodliwy, bardzo jest do polecenia. Również naczynia, sprzęty kuchenne i podłogi, myte ługiem z popiołu drzewnego, są najbielsze i najczystsze. Popiół z tytoniu, dobrze wypalony, zawierający w sobie dużo potasu, który doskonale brud rozpuszcza, jako bardzo miękki i nie rysujący przedmiotów, z powodzeniem używa się do czyszczenia metali. Taki popiół, posypany na doniczki z kwiatami, niszczy mszyce i pchły ziemne.

Z DZIEDZINY KOSMETYKI

(ciąg dalszy)

NAJNOWSZE UWAGI O PIEŁĘGNACJI SKÓRY

W przestrzeniach pomiędzy komórkami krążą soki odżywcze. Niema tam więc naczyń we właściwym tego słowa znaczeniu. W miarę wytwarzania się w warstwie rozrodczej naskórka nowych komórek, stare komórki przechodzą szereg zmian: tworzą się komórki ziarniste, te znowu zasychają i tworzą warstwę zrogowaciałą. Warstwa zrogowaciała, stanowiąca najbardziej zewnętrzną powłokę, spełniwszy swe zadanie, złuszcza się i odpada.

Ta odnowa od głębi do zewnątrz w organizmie, odbywa się ustawicznie.

Tą właśnie drogą pozbywamy się wydzielin gruczołów łojowych, potowych i rozmaitych produktów przemiany materji, zanieczyszczających organizm. U ludzi zdrowych na dobę odpada 6-14 gr. łusek na całym ciele—ten sam proces odbywa się w formie łupieżu na głowie.

W 1 cm. kw. skóry człowieka znajdują się olbrzymie ilości rozmaitych bakterji—w jednej kąpieli splukujemy około 100 milionów tych szkodliwych drobnoustrojów. Jakież więc olbrzymie znaczenie ma złuszczenie się naskórka.

Pod warstwami naskórka znajduje się skóra właściwa, składająca się z tkanki łącznej, włókien elastycznych i sprężystych. Przechodzą tam naczynia krwionośne i nerwy. Ta włóknista budowa skóry zapewnia jej znaczną rozciągliwość i odporność, umożliwia chronienie naczyń i nerwów. Jeżeli zrobimy palcami ze skóry fałdę, to gdy puścimy palce, skóra wraca do poprzedniego stanu, co się nie stanie, jeżeli nastąpił już zanik włókien sprężystych: wtedy to powstają zmarszczki.

Kiedy się tworzą zmarszczki? U osób, które nagle schudły, u mimiów, artystów, zwłaszcza filmowych, u osób b. nerwowych o twarzach b. ruchliwych, u mikroskopistek, t. zw. fachowe zmarszczki, powstają już w bardzo wczesnym wieku.

Naturalne występowanie zmarszczek jest jedną z pierwszych oznak starzenia się

Zupełną słuszość mają matki, gdy przestrzegają córki przed grymasami, gdyż przez wykrzywianie twarzy niepotrzebnie zużywają się włókna sprężyste. Jednakże przy bardzo ruchliwych twarzach i wrażliwych, całkowite

opanowanie się nie jest możliwe. Jako kuriozum przytoczyć można jedną z artystek amerykańskich, która unikała uśmiechu, aby w ten sposób zapobiec powstawaniu zmarszek.

Gdzie się tworzą pierwsze zmarszczki?

U ludzi, pracujących dużo umysłowo, zwykle tworzą się pierwsze zmarszczki na czole. Wogóle zmarszczki te znamionują pewien stały wysiłek umysłowy. Pod oczami przy częstych płaczach głębsze, przy częstym śmiechu drobniejsze. Siłę woli i upór zwykle charakteryzuje zmarszczka między brwiami. W kąciakach oczu, to niewątpliwie dobiegająca trzydziestka, fałd nosowopoliczkowy wgłębiany, to 40 stka—a fałd brodowo nosowy, to pewna pięćdziesiątka. Naturalnie te zdradliwe cechy noszą jedynie kobiety, nie dbające o siebie, lub używające przesadnie zbyt wiele metod na raz. Można jedynie bronić się przed tem, stosując zasady ogólnej higieny i masaż specjalny.

Wracając do budowy skóry, omówiliśmy już warstwę rogową i warstwę skóry właściwej. Teraz przechodzimy do warstwy tkanki podskórnej, czyli tłuszczowej. Nie wszędzie tłuszcz odkłada się w tej samej warstwie. Wychudnięcie polega na ubytku tłuszczu w skórze, który zarazem jest tłuszczem zapasowym. Kobiety zwykle mają więcej tłuszczu niż mężczyźni. Tłuszcz nie tylko chroni od urazów, osłania nerwy i naczynia, ale nadaje ciału kobiecemu miękkość i delikatność linii. Dla tego też sprzeciwiałabym się radykalnemu i nadmiernemu odchudzaniu się, gdyż kobiety nadmiernie szczupłe, z wystającymi łopatkami, z zaznaczającymi się żebrami i dołkami nad i podobojczykowemi, są nad wyraz nieestetyczne.

Prócz tego znajdują się w skórze gruczoły łojowe i potowe. Gruczoły łojowe są rozmieszczone po całej skórze, z wyjątkiem podeszew, dłoni i palców rąk i nóg.

Gruczoły te wydzielają łoj, konieczny dla organizmu, chroniąc skórę przed wysychaniem. W stanach chorobowych gruczoły te powiększają się i wydzielają nadmierną ilość łoju—skóra taka jest przetłuszczona i z widocznymi otworami. Otworeczki te są to rozszerzone chorobliwie gruczoły łojowe. Stan taki, nazywa się łojuotokiem: gruczoły łojowe wydzielają łoj, który jest właściwie zmienionymi całkowicie komórkami tłuszczowemi.

Dzięki tłuszczowi, spoistości i ciągliwości złuszczeniu się, bakterje nie są dopuszczone do wnętrza organizmu. Małeńka szczelinka może uczynić wielką szkodę dla całego ustroju. Jak ważną jest dla organizmu rola skóry—ocenić może nawet każdy laik.

Pozatem w skórze znajdują się gruczoły potowe. Materiału dla wytwarzania się potu dostarcza krew przez naczynia krwionośne. Nerwy mają znaczenie wielkie przy wydzielaniu się potu, gdyż regulują powiększanie się lub zmniejszanie wydzielnicze gruczołów potowych.

Skoro mówimy o poceniu się, musimy jednocześnie omówić kwestję regulacji ciepła, związaną ściśle z poceniem się.

Skóra reguluje ciepło, ponieważ jest złym przewodnikiem ciepła. Nietylko zachowuje ciepło lecz i reguluje temperaturę.

Człowiek żyje we wszystkich szerokościach geograficznych—przeżranie się lub przemarznięcie powodowałyby śmierć. Nadmiernej ilości wytworzonego przez pracę mięśni ciepła ustrój pozbywa się przez promieniowanie.

Od ilości przepływającej krwi, temperatury, stanu wilgotności powietrza, od rodzaju środowiska zależy ilość ciepła, które tracimy przez ochładzanie naczyń krwionośnych, znajdujących się w skórze. W skórze znajdują się mięśnie gładkie, które kurcząc się, tworzą t. zw. gęsią skórę. (Nie mam tu na myśli owych drobnych guzeczków, występujących na zewnętrznych częściach ramion i ud, gdyż te spowodowane są zmianami patologicznymi, występującymi dość często. Popularnie nazywają to gęsią skórą).



Mięśnie gładkie w skórze wpływają na regulację ciepła, zależnie od tego, czy więcej, czy też mniej krwi przez nie przepływa. Przy ciepłe mięśnie się rozszerzają, wtedy więcej krwi przepływa. Przy zimnie kurczą się, krwi przyplęwa mniej, więc mniej ciepła się traci. Instykt każe nam na zimnie kurczyć się, przy tem bowiem tracimy mniejszą ilość ciepła. Skoro ciepłota otoczenia jest wyższa, np. w łaźni, naczynia krwionośne mimo rozrzedzenia się, nie mogą więcej promieniować. Na pomoc przychodzą gruczoły potne. Wtedy skóra paruje, powstaje kroplisty pot.

Wskutek parowania tracimy dużą ilość ciepła; organizm się ochładza. W łaźniach suchych znosimy o wiele wyższą temperaturę, bo pocenie może się odbywać dość silnie. Przy wilgotnem powietrzu, w lecie w dnie pochmurne, duszne, gdy dużo pary wodnej znajduje się w powietrzu, pocenie nie odbywa się intensywnie. Przewiew znakomicie dopomaga do parowania potu, tem samem pomaga regulacji ciepła.

Nietylko przy temperaturze wysokiej następuje pocenie się, lecz także przy schorzeniu pewnych nerwów, np. trójdzielnego, przy

spożyciu pewnych potraw, przy zatruciach, a także pewne urazy psychiczne, choroby infekcyjne, podniety psychiczne, ostre omdlenia dają nam obfite poty.

Przez pot wydzielamy szkodliwe substancje, podobnie, jak przez nerki. Podczas pocenia się, nerki znacznie mniej wydzielają — występuje wzmożone pragnienie.

A zatem, jedną z najważniejszych czynności skóry, jest to pocenie się, przez co wydalamy z potem substancje trujące z organizmu, jak np. kwas węglowy.

(d. c. n.)

Dr. Julja Świtalska

JAK SIĘ ROBI MYDŁO

Czytelniczki nasze niejednokrotnie zwracały się z zapytaniem, jak się robi mydło. Aby zadowolnić ich ciekawość, a niejednej może służyć dobrą radą, podaję sposób, zaczerpnięty z biblioteki przemysłu domowego i osobiście przezemnie wypróbowany za czasów wojennych, kiedy mydło kupne było nie raz nie do użytku.

A zatem należy przygotować:

- 5 funt. Kalafonji,
- 5 „ ługu S. K. mocy 7—8°B
- 10 „ łożu topionego czystego,
- 12 „ 16 łutów ługu S. K. mocy 20°B,
- 1 „ wody zywcajnej,
- 2 „ 16 łutów szkła wodnego mocy 36°B
- 0 „ 16 łutów ługu S. K. mocy 35°B.

Mydło pg. powyższego przepisu, podczas gotowania bardzo wysoko podnosi się, więc kociołek, lub sagan muszą być drugie tyle wyższe, jak zawartość użytego materiału i nie mogą być emaljowane, ani pobielane. Gotowanie odbywa się w następujący sposób.

Ług sodowy 12 f. 16 łutów mocy 20°B. rozdzielić na 4 równe części. Dla ułatwienia, by nie zajmować dużo naczyn, w jakim czerpaku lub słoju nazczymy woskiem, ile zajmuje odważona czwarta część ługu t. j. 3 f. 4 łuty, a to dlatego, by za każdym razem nie wy-

ważać, a zaczerpnąć lub nalać na oko, bo gdyby była mała niedokładność, to znaczenia decydującego niema. Potem w naczyniu żelaznem roztopić na wolnym ogniu, bacząc na kalafonję, by się nie przypaliła. Podczas tego topienia wrzucić kilka grudek łożu i w końcu wszystek łoż, a potem resztę tłuszczów. Przez ten czas, w naczyniu wysokim, w którym ma się gotować mydło, zagrzewać z boku na ogniu 5 f. ługu, mocy 8°B. i jak tłuszcz trochę przestygną, a ług już od zagrzania paruje, lać wolno tłuszcz do ługu i mieszać ciągle, potem powiększyć ogień i zagotować, oraz przedłużyć gotowanie do 5—10 m. Dodać pierwszą porcję ługu mocy 20°B. lejąc wolno i mieszając, ciągle gotować 10—15 m. Gdy się podnosi, zalewać wodą, o której mowa w receptcie, aby nie wyleciało przez wierzch. Wodę zachowywać, by starczyła do końca, a przynajmniej do trzeciego dodania ługu. Po każdym 10—15 minutowem gotowaniu dodawać nową porcję ługu, aż do wyczerpania takowego.

Po dodaniu trzeciej porcji ługu, ogień musi być wolny, aż do końca gotowania i wtedy bierzemy trochę mydła z woselka na szkło dla badania. Badanie odbywa się w następujący sposób: Na kawał suchej, czystej szyby bierzemy z woselka trochę wrzającej masy mydlanej i uważamy, czy się nie bardzo

rozlewa po szkle, czy nie wydzieła z siebie ługów nie połączonych z tłuszczami, czy prędko twardnieje i czy przy zastyganiu nie tworzy się po brzegach biaława obrączka z niezmydlonych tłuszczów, czy jest twarda i przezroczyta, czy wzięta między palce nie bardzo się maże, czy dotknięta językiem nie bardzo szczypie. Prawidłowo gotujące się mydło powinno na szkle nie rozlewać się, prędko zastygać, być przezroczyte, a wzięte między palce nie powinno się mazać, a rozgniatać na rodzaj łuskiewek płaskich i suchych, a dotknięte językiem musi mieć smak cierpkosłodkawy. Jeśli tych oznak nie będzie, trzeba mydło dalej gotować, dolewając czwartą porcję ługu nie odrazu, a częściowo, wciąż próbując. Gdy po kilkunastogodzinnem gotowaniu na lepsze się nie zmieni trzeba próbować, czy nie bardzo szczypiące. Jeśli szczypiące, dodać potrochu łożu do 2 f. aż się poprawi. Jeśli nie szczypie i ma smak cierpki, to dodać ługu mocy 20°B. też do 2—3 f. Mieszać ciągle, żeby się nie przypaliło. Po dobrem ugotowaniu zdejmujemy kocioł, okrywa derką i przestudza się mydło do 50—60 st. Potem lejemy szkło wodne razem z ługiem S. K. mocy 35°B. mieszamy dobrze i wylewamy do formy.

Jeśli kolor zbyt szary, to trzeba je podfarbować przed wylaniem do formy.

J. S.



PAKOWANIE I PRZECHOWYWANIE OWOCÓW NA ZIMĘ

Trwałość i ładny wygląd owocu zależy li tylko od sposobu zdejmowania go z drzew i opakowania do przewozu.

Najdorodniejszy owoc pobity, nabierze plam, które prędko przechodzą w zgniliznę i psuje się prędko, zwykle prędzej nawet, niż znajdzie nabywcę. Mając najwyborniejsze gatunki jabłek i gruszek zimowych, nie umiemy ich wcale wyzyskać i zalewając rynek małowartościowym owocem, psujemy sobie i innym ceny. Konkurować z zagranicznymi gatunkami nie tylko europejskimi, lecz nawet amerykańskimi nie umiemy. Od lat paru, co wiosna mamy w Warszawie wspaniałe jabłka kanadyjskie, tańsze od tych niedobitków krajowych, które jakimś cudem, wobec złego z nimi obchodzenia, ocalały. Kanada nie jest wcale jakimś ciepłym krajem, owoce w niej muszą dojrzewać, co i w Polsce, czyli możliwość dostarczania ich na wiosnę zależy tylko od umiejętności przechowania.

Warszawskie Towarzystwo Ogrodnicze miało urządzić kurs pakowania owoców zimowych, miałam szczerzy zamiar wysłuchania tego kursu, specjalnie tylko w celu podzielenia się z Czytelniczkami „Bluszczu” nabytymi na nim wiadomościami.

Niestety, z różnych przyczyn, kurs ten nie doszedł do skutku.

Szkoda, wielka szkoda, gdyż sądząc z tego, co widzimy w pierwszorzędnym nawet sklepie, umiejętność przechowywania i przewożenia owoców krajowych stoi na nader niskiej stopie. Bardzo natomiast wysoko stoi sztuka umiejętnego sprzedawania towaru, ukrycia jego braków — natomiast dzieje się to wszystko kosztem zwykłej ofiary — konsumenta.

Przechodzi się ulicą i widzi wspaniałą piramidkę ślicznego owocu, wchodzi do sklepu i prosi o kilo lub dwa. Subjekt z niesłychaną

szybkością napełnia torebkę, waży, zawiązuje. Po powrocie do domu okazuje się zwykle, — zawsze prawie, — nie tylko, że owoc jest mniej dorodny, lecz że jest przejrzały lub niedojrzały, i że każda sztuka ma plamę, robaczki, kamienne stwardnienie lub krzywiznę.

Taki nieuczciwy handel jest spowodowany niedostatecznym segregowaniem towaru przez dostawcę, kupiec musi sprzedać za wszelką cenę to, co nabył i oszukuje klienta.]

Na Kresach dalekich, dzisiaj niestety poza obrębem Państwa Polskiego położonych, gdzie mi zabrano ogromny, blisko czterdzieście morgowy sad, z samych prawie zimowych, handlowych gatunków, owoc cały szedł na Petersburg i na Rygę, — z tej ostatniej eksportowano go do Skandynawji.

Kupcy hurtowni już wczesną wiosną wydierżawiali sady i jesienią wagonowo pierwszorzędny towar wysyłali w tę daleką drogę, na miejscu zbywając tylko opadki i drobne, niedorozwinięte sztuki.

Sam zbiór owoców odbywał się w taki sposób, że zapomocą tyki, rozszczepionej na końcu i formującej rodzaj widełek, czy raczej koszyczka zdejmowano każdą sztukę oddzielnie.

Gdy chodziło o gatunki delikatniejsze i niestarcie z nich barwy, na końcu tyki było kółko druciane z woreczkiem, wyglądało to jak woreczek z imbryka do kawy. Owoce wpadał w miękki woreczek i nieuszkodzony był składany na kupę suchej słomy. Stąd brano go do kosza, sztukę po sztuce i przenoszono do szopy, — (bez takiej jednej lub kilku szop żaden dzierżawca i nie brał ogrodu) — i rozkładano na półkach, pokrytych matami. Tam leżał do dwóch, wypacał się, jak tam to nazywano. Do przewożenia służyły skrzynie z cienkich, calowych tarcic, wszystkie jednokowej miary, zbijane nie gwoździami, coby dało możliwość oderwania deski i ukradzenia części towaru,

lecz zszywane drutem. W taką skrzynię kładziono na dno rząd tartej, bardzo suchej słomy, na to rząd jabłek, każdy rząd podłużny, przedzielając od drugiego pękiem słomy długiej, nietartej, twardej. Na to znów słoma tarta, jabłka itd. aż skrzynia była pełna po brzegi, na tę już powyżej brzegów warstwę słomy tartej, potem długiej razem na jakie 25 centymetrów i dopiero się skrzynię zabijało gwoździami, ściskając jabłka i słomę, aby się nie mogły poruszać w drodze. Ten nawet pierwszorzędny towar segregowano, pakując według rozmiarów owoc na trzy gatunki i pisano na skrzyni: „antonówka I”, lub „aport II” lub „kalwil czerwony III” itp. Sumiennosc sprzedającego była wielka, gdyż wymagał tego nabywca, — oszukać można raz tylko, zaufanie poważnych rynków nabywa się latami uczciwego handlu. Jabłka, przeznaczone na konserwę zimową na miejscu, zdejmowano z takimiz ostrożnościami i po wypoceniu układano w piwnicach na półkach, pokrytych suszoną w szarni słomą. Dalsza opieka nad nimi polegała na przeglądaniu ich co parę tygodni i usuwaniu nadpsutych. W rezultacie nasze jabłka z Inflant polskich miały w Petersburgu i Rydze renomy pierwszorzędnego towaru, sady nasze były zawsze dzierżawione przez znane firmy, — których umiejętnemu obchodzeniu się z owocem tę renome właściwie zawdzięczały, im tylko — gdyż, kiedy w roku małego urodzaju miejscowe żydki sad wydzierżawiły, owoc bywał obijany, wożony fu ami, trzymany w stosach, — „tout comme chez nous, ici”, — i sad z połamanymi gałęzmi, wyglądał jak po walnej bitwie. Owoce zaś porządnie zdjęte i przechowane w piwnicy trwały ślicznie do wiosny. W maju zawsze miałam jeszcze killa kop ładnych antonówek, a nieraz kilkadziesiąt „żelaznych” lub „książęcych” (nomenklatura miejscowa), dotrwało do połowy lipca, to jest do chwili kiedy wczesne oliwne i renetki już można było używać do kuchni.

Pani Elżbieta



OBIADY NA MASZYNCIE

(na trzy osoby)

I.

Kartoflanka ze słoniną,
Baranina z pomidorami,
Jabłka usmażone w cieście.

Trzy ćwierci kilo obranych kartofli nastawić w półtora litra wody, włożyć drobno pokrajaną pietruszkę, cebulę i porę, zagotować, zszumować, osolic, wrzucić parę ziarn pieprzu, ziela i pół listka. Gotować, aż kartofle się zupełnie rozgotują, a inne jarzyny zmiękną. Przetrzeć całą masę przez durszlak, zlać napowrót do rondla, zaprawić łyżką mąki, rozbitą w pół szklance zimnej wody. Trzy deka słoniny drobno pokrajać, zesmażyć na patelni, wlać do zupy, zagotować razem, poczem garnek zdjąć z maszyny i postawić w gniazdo. Kilo baraniny od combra lub pieczeni zbić mocno. W rondlu zrumienić łyżkę masła, na to położyć osoloną baraninę, smażyć, obracając na wszystkie strony, aż się dobrze zrumieni. Włożyć pokrajaną cebulę, listek i parę ziarn pieprzu, podlać szklanką wody, przykryć pokrywą i dusić na małym ogniu, (t.j. po przykręceniu kurków) co kilka minut przewracając i podlewając w miarę potrzeby wodą, aż mięso zupełnie zmięknie. Gdy gotowe, włożyć sześć ładnych, dużych pomidorów w całość i dusić z nimi jeszcze pięć do dziesięciu minut, poczem nakryty garnek postawić w drugie gniazdo, przez czas duszenia baraniny obrać trzy średnie, kwaskowe jabłka, pokrajać każde na pięć talarków. Dwie duże łyżki mąki ubić w misce z dwoma żółtkami i szklanką wody lub mleka. Białka ubić na sztywną pianę, zmieszać z ciastem, włożyć w to jabłka. Na patelnię kłaść spory kawał szmalcu, dobrze rozgrzać i na wrzący kłaść dużą łyżką kawałki jabłek z ciastem je pokrywającym, gdy się dobrze z jednej strony zrumieni, przewrócić nożem na drugą. Zdejmować na talerz i posypywać natychmiast drobno utłuczonym cukrem z cynamonem. Gdy się wszystkie usmażą, przykryć drugim talerzem, aby nie ostygły i podawać zupełnie.



II.

Boczek wołyński,
Boczek wieprzowy z ogórkowym sosem,
Ryż duszony z jabłkami.

Trzy ćwierci kilo nietłustego boczku od młodej sztuki, zalać dwoma litrami wody, zagotować, zszumować, osolic, włożyć pieprzu ziarn parę, cebulę obraną, listek i gotować, aż mięso zmięknie. Tymczasem oczyścić dwa buraki, poszatковать je jak najcieniej, osolic i skropić na talerzu octem. Oczyścić trzy duże kartofle i pokrajać na ćwiartki, przygotować trzy pomidory, pół główki kapusty białej lub fryzowanej, drobno uszatковать marchew i pietruszkę. Mięso wyjąć i odstawić. Do rosółu włożyć buraki, pietruszkę i marchew, gotować minut dwadzieścia, dodać rozkrojoną na trzy części kapustę, po pięciu minutach gotowania kartofle i pomidory. Gdy kartofle są miękkie, barszcz przestawić w gniazdo. łyżkę masła rozpuścić w rondlu, zasmażyć, wsypać szklankę ryżu, smażyć, mieszając łyżką, aż ryż nabierze żółtego koloru, zacząć wtedy podlewać wodą, knot przykręcić i dusić tak, wciąż podlewając i mieszając do dna, aż ryż się stanie sypki. Trzy jabłka kwaskowe obrać ze skórki i pokrajać na ćwiartki, włożyć do ryżu wraz z dwoma sporem łyżkami cukru, wymieszać, podusić na najwolniejszym ogniu minut pięć jeszcze, poczem odstawić w drugie gniazdo. Sporą łyżkę mąki zasmażyć na biało z łyżką masła, rozprowadzić szklanką rosółu z wieprzowiny, odlaną w tym celu przed włożeniem buraków. Duży, twardy, kiszony ogórek obrać, pokrajać w plasterki, wrzucić w sos, zagotować raz, dodać jeśli jest: łyżeczkę siekanego koperku, łyżkę śmietany, włożyć w to pokrajany na zgrabne kawałki boczek, zagotować raz. Maszynkę zgasić, mięso przykryć talerzem, aby nie wystygło i podawać zupełnie.

Pani Elżbieta.

PRZEPISY GOSPODARSKIE

SOK ŻÓRAWINOWY

Nadzwyczaj zdrowy dla dzieci i rekonwalescentów. Należy go robić na wiosnę, kiedy żórawiny, dobrze przemarzłe przez zimę, nie mają już goryczy. Żórawiny zalać wodą, aby je tylko objęła, gotować tak długo, aż wszystkie jagódki popękają, poczem jeszcze pognieść je mocno drewnianą łyżką lub tłuczkiem do kartofli. Zlać do flanelowego worka, precedzić i wycisnąć. Zmierzyć ten sok, na każdy litr soku brać kilo cukru, naprzód wlać sok w miedniczkę, potem sypać cukier, a to dlatego, aby przy gotowaniu cukier do dna miedniczki się nie przypalił. Ponieważ żórawiny nie mają żadnego aromatu, można włożyć do soku kawałek wanilii lub wlać parę kropel olejku migdałowego. Zagotować na gwałtownym ogniu, zszumować, poczem odstawić na mniejszy ogień i gotować jeszcze około dwudziestu minut. Gdy syrop się zupełnie sklaruje, dodać na każdy litr jedną pastylkę „benzoesu“ rozpuszczonego w łyżce gotowanej wody, natychmiast odstawić od ognia, zstudzić. Gdy zupełnie zimny, wlać do czystych, suchych butelek, zakorkować, korki zalać smołą lub zalakować i przechowywać sok w suchym, chłodnym miejscu.

SOK BERBERYSOWY

Dojrzały berberys oczyścić z szypulek, złożyć do stępy, używanej do otlukiwania jęczmienia i utłuc na miazgę. W braku stępy utrzeć dobrze w makutrze. Zalać wrzątkiem, dobrze wymieszać, zlać natychmiast do flanelowego worka, zcedzić, jak najdoskonalej wycisnąć. (Berberysu z pestkami nigdy gotować nie należy, gdyż dają one syropowi przykry, cierpki posmak). Na litr tego soku bierze się cztery i pół szklanki cukru, sok wlewa w miedniczkę, i wsypuje cukier, starannie miesza do dna zagotowuje na gwałtownym ogniu, zszumuje, poczem jeszcze gotować około dwudziestu minut na mniejszym ogniu. Gdy sok klarowny i nieco gęstnieć zaczyna, na każdy litr soku dodaje się pastylkę „benzoesu“, rozpusz-



czonego w łyżce gotowanej wody, natychmiast odstawić od ognia. Ponieważ syrop berberyjski zwykle nie ma koloru, należy po usmażeniu zabarwić go paru kroplami koszenili lub roślinnego karminu. Po zupełnym ustudzeniu, sok zlewa się w suche, czyste butelki, korkuje, korki osmala lub lakuje i butelki przechowuje w chłodnym, suchym miejscu. Syrop berberyjski ma specjalny, orzeźwiający kwas, jest więc bardzo cenny jako dodatek do wody w upały i ogromnie lubiany przez chorych gorączkujących i rekonwalescentów.

STARZY SPOSÓB PRZECHOWYWANIA ZWIERZNY

Gdy, jak to się na wsi często zdarza, myśliwi nastrzelają dużo zwierzyny i nie można jej od razu zużyć, trzeba pomyśleć o jej przechowaniu na czas dłuższy.

Dzisiaj, co prawda, niemal każdy dwór, zbywającą po polowaniu zwierzynę do miasta sprzedaje — przypuszczam jednak, że gdzieś dalej od kolei, są jednak jeszcze takie żubry, co wołają same te przysmaki skonsumować, dla nich też wyciągam z notatek mojej babki ten stary sposób.

Jarzabki, cietrzewie czy kuropatwy oskubane, wypatroszyć i opiec do połowy w maśle lub słoninie. Wystudzić zupełnie, poczem je maczać w rozpuszczonym łoju baranim. Ostudzić ponownie, złożyć w blaszaną pakę, wyłożoną ceratą (obecnie może lepszym był gruby pergamin), pakę tę postawić na lodzie. Cienka warstwa łaju chroni doskonale od zepsucia.

Przed użyciem należy łój jak najstaranniej usunąć, zwykle się kruszy łatwo i odstaje dużemi kawałkami. Wyparzyć ptaki gorącą wodą, nie trzymając ich jednak w niej długo i kończyć dusić z mas-

łem lub słoniną, zaprawiając na końcu sos śmietaną. Jesienią mogą tak leżeć do miesiąca, zimą znacznie dłużej.

Pani Elżbieta.

DOBRE RADY

Chcąc przyspieszyć wysychanie ścian, świeżo tynkowanych i osuszyć je zapomocą innego, jak płuca ludzkie, przyrzędu, ustawić w mieszkaniu kosze żelazne, napełnione żarzącymi się węglami lub koksem, i to powtarzać dopóty, przy ciągłym wietrzeniu mieszkania, dopóki para wodna ze ścian wydzielać się nie przestanie. Jednocześnie ustawia się naczynia napełnione świeżo palonym wapnem, które dopóty będzie się odgaszać, to jest rozsypywać na proszek, dopóki powietrze w mieszkaniu będzie wilgotne. Gdy wapno przestanie się rozsypywać — mieszkanie można uważać za osuszone.

* * *

Kupując na zimę kartofle, poznaje się ich trwałość w sposób następujący: rozkrawa się kartofel na pół i przykładą do siebie obie połowy mocno ściskając — jeżeli kartofel trwały, wlepi się tak, że trudno go rozdzielić; w przeciwnym razie sam się rozlatuje.

Korespondencje działu praktycznego

Ziemiance.

Niestety wzorów potrzebnych Pani nie mogę nigdzie znaleźć — trzeba by je chyba specjalnie zamówić.

Pani J. P. w Bzdzie.

Pająki, jedne z mniej szkodliwych i dokuczliwych stworzeń, ze względu na szybko przedzoną po kątach pajęczynę, należy tępić i zabijać. Wiele osób nie zabija pająków utrzymując, że to przynosi nieszczęście. Trzeba wykorzeniać ten zabobon, a dla uniknięcia rozwielenia się pająków, starannie co tydzień omiatać ściany i sufity w mieszkaniu. Koronki są bardzo modne. Czarne najlepiej by wyglądały w połączeniu z czarną georgette. Możliwe je poszyć złotą nitką i suknię przybrać złotą lamą. Na kolorze znacznie mniej noszone.

Sportsmence.

Do konnej jazdy używa się obecnie szerokiej bardzo kłozowej spódniczki, lekko w samym środku u dołu

podciętej okrągło i zeszytej jak majteczki. Jest mniej ambarasowna jak spinana na guziki, a luźno puszczona szerokimi fałdami nakrywa podcięcie i ślicznie okrywa figurę, na głowę mały kapelusik lub czapka stanowiąc będą odpowiednie nakrycie. Rakiety, trzymać zawsze trzeba w prasie i często do niej zaglądać. W wilgotnym mieszkaniu nie wieszac na ścianie ani stawiać w szafie, aby się drzewo nie spaczyło, ba wyjdą i popękają struny.

Pani J. M. z Bydgoszczy.

Króliki to plaga pól w okolicach, gdzie hodują się dziko — trudne do wytepienia wskutek wielkiej mnożności, w hodowli domowej są wdzięcznym i bardzo pożytecznym materiałem. Tak mięsa jak futra służą do użytku — zwłaszcza futra należy wyprawione i farbowane używane na wszelką, galanterię futrzaną i doskonale często zastępują kosztowne szenszylle i foki. O gatunkach i hodowli racjonalnej przeczyta Sz. Pani w *Bluszczu* — tymczasem nadmieniam tylko że myśl jest doskonała i nie trzeba zrażać się chwilowem, a raczej początkowem niepowodzeniem.

Pani B. K. w Łodzi.

Kwiaty pokojowe przesadza się na wiosnę; w lecie podlewa obficie, w zimie mało, tylko jak ziemia zaczyna zupełnie wysychać. Koniecznym warunkiem jest trzymanie na słonecznym oknie tak fuksji (ułanka) zimą, jak pelargonji.

Co do kawy, to na czarną używać najlepiej dwóch gatunków zwyczajnych, bez cykorji. Do parzenia używać maszyny spirytusowej, która wskutek swojej konstrukcji doskonale wyciska wszystkie części kawy. Na kawę turecką trzeba codziennie kawę palić, utłuc bardzo miało w drewnianym moździerzu na maleńką filiżaneczkę wziąć peł-

DR. MED.

J. ŚWITALSKA

Choroby skórne, kosmetyka, wener.

Wyłącznie dla kobiet od 5—7.

KRUCZA. № 31, mieszkanie 3.
Telefon 102-77

Zawiadamy nasze Czytelniczki, że jedna ze stałych współpracowniczek działu robót w „Bluszczu“ organizuje KOMPLETY HAF-TÓW ARTYSTYCZNYCH. Informacje telefonicznie do 10 ej rano i od 3-iej do 5-iej po południu. Tel. 273-34.

JEDNORAZOWE PORADY
W SPRAWACH ROBÓT

na łyżeczkę, wrzucić na wrzącą wodę, zagotować, odstawić, a gdy się ustoi, podawać z fusami w jak najmniejszych naczyniach.

* * *

Redakcja „Bluszczu” odpowiada stałym Czytelniczkom na wszelkie pytania, dotyczące życia domowego, gospodarstwa, mód, robót i t. d. Listy należy adresować do redakcji działu praktycznego, załączając znaczek pocztowy na odpowiedź i dokładny swój adres.

Na listy anonimowe, względnie bez adresu, Redakcja odpowiadać nie będzie.

Odpowiedzi są załatwiane kolejno, a wobec wielkiego napływu listów, nie zawsze mogą być umieszczone w najbliższym numerze „Bluszczu”.

Opis sukien i robót do Nr. 40

764. Płaszczyk z pelerynką z materiału gładkiego i w kratę dla dziewczynki od lat 4 do 6.

765. Paltocik z brązowego zamszu dla dziewczynki od lat 6 do 9.

766. Paltocik dla dziewczynki od lat 5 do 7, przybrany guzikami.

767. Paltocik dla dziewczynki od lat 8 do 14 z sukna granatowego, przybrany aplikacją z tegoż sukna na aksamicie.

768. Suknia ślubna z białej georgette'y.

769. Suknia ślubna z crêpe marocain.

770. Suknia balowa z georgette'y koloru cyclamen, wyszywana srebrem, ciemniejszym jedwabiem i srebrnymi dżetami.

771. Suknia balowa dla młodej osoby z różowej georgette'y, rozszyta szarą, cieniutką koronką.

772. Palto fokowe, przybrane skunksami.

773. Palto z odciętą falbaną z kretów lub kałanków.

774. Żakiet z libretów.

775. Palto z futra antylopy. Kołnierzyk i mankiety z szensyli.

776. Bluzka—kamizelka z czarnego otomanu, przybrana białym żabotem.

777. Bluzka z białego crêpe marocain, przybrana haftem.

778. 779. 780. 781. 782. 783. Najnowsze fasony kołnierzyków futrzanych i mufek.

784. Wzór na denko do tacki — haft richelieu. Wielkość naturalna.

785. Wzór na laufer — haft zakopiański. Wielkość 28×100 ctm.

UWAGA: Powiększone wzory robót, umieszczonych w Dodatku Mód, można nabywać w Administracji „Bluszczu” po cenach następują-

cych: obrus — makata — ekran zł. 2.50; poduszka — serwetka zł. 1.50; drobne desenie gr. 75.

Przy zamawianiu trzeba wymienić wielkość (I, II, III lub IV) podług załączonej tabelki miar.

Kroje modeli, umieszczonych w Dodatku Mód, dostarczamy w ciągu trzech dni po cenach następujących: palto lub suknia fantazyjna . zł. 3.50
suknia zwyczajna „ 2.50
bluzka „ 2.00
formy dzieciinne „ 2.00
bielizna „ 1.50

Korespondencję, dotyczącą mód i robót, należy kierować oddzielnie do Redakcji dodatku mód. Zamówień nie należy skuteczniać na blankietach czekowych P. K. O.

Nadesłane do Redakcji (Za dział ten Redakcja nie odpowiada)

PORADY KOSMETYCZNE

PANI H. G. Żaden środek nie zastąpi proszku „SVENO”, który zupełnie usunie wagi i połyskliwość cery, pod puder trzeba używać krem „DIANA”.

CYGANOE. Metamorphoza „JERSEY” szybko wybieli i udelikatni cerę.

ZMARTWIONEJ. Płyn „PIGMIN” bardzo łatwy do zastosowania, przywróci pierwotny równy kolor włosów bez tęczyowych odcieni.

Zapytania należy kierować: Skrzynka poczt. № 594. Dział kosmet. Marki za 30 gr trzeba dołączyć.

Roemer

TABELKA przeciętnych miar

Wielkość	obwód piersi	pas	obwód bioder	dług. pleców	dług. spódnicy
I	84	64	96	34	75
II	96	68	105	37	85
III	102	72	110	39	95
IV	114	85	120	40	100

OD ADMINISTRACJI

Prosimy o wpłacenie prenumeraty za 4-ty kwartał b. r. Czeki P. K. O. dołączyliśmy do numeru 38-go.